

# Bhutan

## Szczęście jest ideą polityczną

„Gdy wszystko dookoła nas jest dziwne, coraz trudniej przychodzi nam wywołać w sobie stan zdziwienia, aż wreszcie zaczynamy wszystko traktować jako naturalne, aby ciągłym dziwieniem się nie nudzić siebie i innych”.

James Hilton, *Zaginiony horyzont*\*

Airbus wyrównuje lot na wysokości 37 000 stóp, gdzieś nad Himalajami. Lampki w kabinie pasażerskiej sączą miękkie, ciepłe światło. Usłużne stewardesy z gracją spacerują pomiędzy rzędami foteli.

Wyglądam przez okno – od doświadczonych znajomych dowiedziałem się wcześniej, że fotel od przejścia nie będzie najlepszym rozwiązaniem. Nie na tej trasie.

Przez dłuższy czas widzę tylko chmury. Już zaczynam kwestionować w myślach doświadczenie i mądrość moich doradców, gdy nagle obłoki odpływają, a moim oczom ukazują się góry. Wyniosłe, hipnotyzujące szczyty. Przy Himalajach wszystkie inne góry wyglądają jak małe pagórki.

Pasażerowie wyciągają szyje, chwytają za aparaty fotograficzne i wydają odgłosy zachwytu. Ja jednak myślami jestem gdzieś indziej. Myślę o innym locie, o innych czasach. Jest 1933 rok – ówczesny

---

\* Wszystkie przytoczone w bieżącym rozdziale cytaty pochodzą z polskiego wydania książki: J. Hilton, *Zaginiony horyzont*, przekł. W. Chwalewik, Katowice 2004 [przyp. red.].

samolot to trzeszczący aeroplan ze śmigłem. Również on leci nad Himalajami, nieopodal miejsca, w którym właśnie się znajduję, ale w jego kabinie panuje ziąb, siedzenia są twarde, a stewardes nie ma wcale. Pasażerowie – trzech Anglików i jeden Amerykanin – by się ze sobą porozumieć, muszą przekrzykiwać huk silnika. Mimo że krzyczą, w ich głosach nietrudno wyczuć niepokój. Wymachujący rewolwerem pilot znacznie zszedł z pierwotnie planowanego kursu i leci gdzieś w nieznane. To porwanie.

Okazuje się, że celem tego rejsu jest miejsce tchnące wyjątkowym spokojem. Miejsce, gdzie medytują mnisi, poeci przesiadują w zadumie, a wszyscy wiodą niezwykle długie i szczęśliwe życie. Odległy zakątek odizolowany od wszelkich okropieństw i zgryzot tego świata, choć nie od jego wygód.

Owo miejsce to Szangri-La, czterech pasażerowie zaś to bohaterowie powieści *Zaginiony horyzont*. Szangri-La jest oczywiście miejscem fikcyjnym. James Hilton, autor książki, zbierając do niej materiały, nigdy nie wyszedł poza londyńskie British Museum. Jednak stworzona przez niego idea Szangri-La zdaje się bardzo pociągająca. Któż bowiem nie marzył o zakątku, który byłby oazą spokoju, a jednocześnie miejscem inspirującym intelektualnie? Miejscem dla serca i umysłu, gdzie będą one koegzystowały w zgodzie aż do dojrzałego wieku 250 lat.

W latach trzydziestych XX wieku książka Hiltona i oparty na niej film zawojowały wyobraźnię Amerykanów, którzy zmagali się wówczas z Wielkim Kryzysem i, otrząsając się ze skutków jednej wojny, szykowali się do kolejnej. Franklin D. Roosevelt swoją prezydencką rezydencję nazwał Szangri-La (później przemianowano ją na Camp David). Właściciele wielu ówczesnych hoteli, zarówno luksusowych, jak i tych zapchlonych, zamawiali szyld z napisem Szangri-La, wierząc, że sama ta utopijna nazwa zapewni im pomyślność.

Powieściowe Szangri-La zostało wyposażone we wszystkie klasyczne cechy i atrybuty raj. Przede wszystkim jest trudno dostępne. Raj nie byłby rajem, gdyby dało się do niego dojechać taksówką. Ponadto między rajem a miejscem, gdzie toczy się zwykłe życie, musi biec wyraźna linia demarkacyjna, czyściec, który mogą przekroczyć jedynie nieliczne

szczęśliwe dusze. Inaczej mówiąc, raj to klub dla wybrańców. Tak jak biznes class, która oferując dodatkowe udogodnienia, ich atrakcyjność zawdzięcza w znacznej mierze obecności innych podróżnych, którzy w tym samym czasie siedzą w klasie ekonomicznej, dziobią widelcem gumowatego kurczaka i gmerają w kieszeniach w poszukiwaniu dokładnie odliczonej kwoty (co zawsze jest cenione) za miniaturowe butelki wódki, którą się znieczulają. Nie można zobaczyć tych biednych duszy-czek – po to jest zasłonka – najważniejsze jednak, że tam są, właśnie ta świadomość decyduje o samopoczuciu pasażerów biznes class.

W podobnym duchu wypowiada się tajemniczy Najwyższy Lama z Szangri-La: „Jesteśmy jak szalupa miotana bałwanami. Paru rozbitków wziąć możemy, ale poszlibyśmy zaraz na dno, gdybyśmy chcieli wziąć wszystkich”. To samo stałoby się z samolotem, gdyby nagle zasłonka opadła, a tłum niedomytych pasażerów rzuciłyby się naprzód, do biznes class.

Szangri-La, choć wymyślone przez Jamesa Hiltona ponad 70 lat temu, wciąż jest bardzo nowoczesnym przedstawieniem raj. Syntetyzuje całą mądrość Wschodu, ale korzysta także ze zsyntetyzowanej wiedzy hydraulicznej Zachodu (wanny z Akron w stanie Ohio). Nie wspominając już o przedstawionej w powieści czytelnici pełnej oprawionych w skórę tomów zawierających mądrość całego świata. A do tego wygodne mieszkania. Jedzenie smaczne i pod dostatkiem. Szangri-La to zatem upragniony cel. Miniaturowy raj.

Problem z rajem jest jednak taki, że nie zawsze natychmiast można dostrzec jego rajskie walory. Trzeba czasu, aby zauważyć „rajskość” danego miejsca. W *Zaginionym horyzoncie* większość porwanych pasażerów samolotu planuje ucieczkę z Szangri-La. Są zdesperowani, chcą wrócić do „cywilizacji” i podejrzliwie odnoszą się do wszystkich argumentów, jakimi operują pragnący ich odwieść od tego zamiaru lamowie. Zła pogoda. Brak zapasów. Jednakże jeden z porwanych, brytyjski dyplomata o nazwisku Conway, jest zachwycony Szangri-La i postanawia tu pozostać. Gdy po raz pierwszy czytałem tę książkę, wczułem się w rolę Conwaya i dałbym wszystko, aby móc znaleźć się na jego miejscu.

*Zaginiony horyzont* przemówił do mnie, ale nie odpowiadałem na ten zew przez wiele lat. Dopóki nie usłyszałem o Bhutanie. Przebywałem wtedy w Indiach – to był początek lat dziewięćdziesiątych XX wieku – jako korespondent publicznego radia. Byłem pierwszym wysłannikiem stacji narodowej w tym kraju i dopiero przecierałem wszystkie szlaki. Małpy czasem wchodziły mi do pokoju. Odwiedzali mnie zaklinacze węży. To były najwspanialsze chwile mojego życia.

Wśród krajów, które miałem opisywać – położonych w obrębie mojego rewiru – znalazł się także Bhutan. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Oto miejsce, które w moim wyobrażeniu najbardziej przypominało Szangri-La. Na terytorium Bhutanu wznosiły się góry, strzeliste szczyty niemalże sięgające nieba. Nie brakło też niezbędnych osobliwości, takich jak choćby dobrotliwy król z czterema żonami, które były sobie siostrami. Zamieszkiwali tam łamowie, panował mityczny nastrój, a nade wszystko obowiązywała polityka Szczęścia Krajowego Brutto.

Przełożeni w Waszyngtonie nie podzielali jednak mojego entuzjazmu. Dokąd chcesz jechać? Ile to będzie kosztować? Nikogo zbytnio nie interesowało małe państewko w Himalajach z poligamicznym monarchą i fiksacją na punkcie szczęścia.

Mijały lata. Zostałem w tym czasie przeniesiony do Jerozolimy, potem do Tokio, ale i tak nieustannie tęskniłem za Bhutanem. Miejsce nieodwiedzane jest dla mnie jak nieodwzajemniona miłość. Tępy ból niedający spokoju, bez względu na to, jak bardzo staramy się o wszystkim zapomnieć i wmówić sobie, że „nie jest to odpowiedni dla mnie kraj”.

– Pierwszy raz?

Zaskoczony tym pytaniem, odwracam głowę.

– Słucham?

– Czy to pana pierwsza wizyta w Bhutanie?

Pytanie padło z ust bhutańskiego biznesmena, mojego sąsiada z airbusa. Biznesmen ma na sobie brązową zamszową marynarkę i patrzy mi prosto w oczy.

– Tak, to mój pierwszy raz.

– Świetnie wybrał pan moment – mówi – zbliża się *Tsechu*, wielkie święto. Zobaczysz pan niezwykle rzeczy, jakich jeszcze na pewno pan nie widział.

Airbus zniża lot. Pilot zaczyna podchodzić do lądowania. Przez głośnik odzywa się sam kapitan i głosem zapewniającym, że wszystko ma pod kontrolą (muszą ich tego gdzieś uczyć), oznajmia:

– Osoby, które po raz pierwszy lądują w Paro, chciałbym poinformować, że jeśli zobaczą państwo góry bliżej niż kiedykolwiek wcześniej, nie ma powodu do obaw. To jest nasze standardowe lądowanie.

Airbus szybko wytraca wysokość – najpierw skręcając w prawo, potem w lewo, a potem znów w prawo – i z każdym skrętem coraz bardziej zbliża się do gór. Tak blisko, że wydaje mi się, jakbym mógł w tej chwili dotknąć skał. W końcu, zostawiwszy za sobą górskie szczyty, samolot gwałtownie opada i z piskiem opon dotyka płyty lotniska. Kołujemy. Wreszcie stewardesy otwierają drzwi. Wita nas rześkie powietrze i błękitne niebo.

Przylot do większości państw wygląda tak samo, a adaptacja do nowego środowiska wydaje się łatwiejsza dzięki temu, że zawsze zaczyna się od przejścia przez świetnie znany i wszędzie jednakowy hermetyczny Lotniskowy Świat. Ale w Bhutanie jest inaczej. Prawdę mówiąc, tu nawet nie ma lotniska. Małeńki budynek terminalu, ozdobiony rzeźbami i żywymi, czerwono-niebieskimi barwami, bardziej przypomina buddyjską świątynię niż lotnisko.

Każdy przybywający do Bhutanu gość otrzymuje swojego przewodnika, którego wynagrodzenie zostaje pokryte z 200 dolarów płaconych przez przyjeźdnego bhutańskiej firmie turystycznej za przywilej zwiedzenia kraju. To jeden z elementów tutejszej polityki, której celem jest trzymanie z dala od granic Bhutanu dziwnie uczesanych, objuczonych plecakami turystów, którzy zdążyli się już przedostać do sąsiedniego Nepalu. Budzi to we mnie obawę. Za czasów Saddama Husajna dziennikarze odwiedzający Irak także otrzymywali przewodników. Ich funkcję pełnili mężczyźni z naoliwionymi włosami, w fatalnie dobranych garniturach. Mieli oni „wspierać” pracę zagranicznych korespondentów. W rzeczywistości wspierali działania *mukhabaratu*,

irackiego wywiadu wojskowego. Byli to po prostu zwykli szpiedzy. Wszyscy o tym wiedzieli. My też wiedzieliśmy. A oni wiedzieli, że my wiemy.

Młodzieniec czekający na mnie przed budynkiem lotniska nie wygląda na szpiega. Bardziej przypomina mi bhutańskiego harcerza, o ile w Bhutanie jest harcerstwo. Ma oliwkową cerę, błyszczącą czystością twarz, nosi ciemnobrązowe *gho*, tradycyjny strój bhutańskiego mężczyzny. *Gho* wygląda trochę jak szlafrok, ale jest znacznie cięższe, wyposażone w przepastne kieszenie, z których panowie wyciągają rozmaite rekwizyty: filiżanki, telefony komórkowe, małe zwierzęta gospodarcze... W ułamku sekundy *gho* może przemienić się w koc lub w zasłonę. Od wszystkich mężczyzn wymaga się noszenia takiego odzienia w godzinach pracy. Bhutan to jedyny na świecie kraj posiadający regulacje dotyczące przepisowego stroju dla mężczyzn.

– Witamy w Bhutanie, proszę pana – mówi młodzieniec w *gho*, okręcając mi szyję białym szalem. Przedstawia się – na imię ma Tashi – a następnie potrząsa moją dłoń. Robi to w sposób, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyłem. Składa obie swoje dłonie nad moją i nisko pochyla przede mną głowę w swoistym półukłonie. Celebryje ten niespieszny gest. Zrazu odbieram to jako coś dość odpychającego. Po prostu chcę ci podać dłoń, Tashi, nie róbmy z tego widowiska. Po pewnym czasie jednak zaczynam doceniać bhutański rytuał powitalny i po namyśle dochodzę do wniosku, że Bhutańczycy tak właśnie robią niemal wszystko – przechodzą przez ulicę, myją naczynia – z namysłem i uważnie celebryją każdą czynność.

„Uwaga” to niedoceniane słowo. Nie otrzymuje tyle... hmm... uwagi, na ile zasługuje. Hołubimy takie słowa jak miłość, szczęście i – Bóg mi świadkiem – wydajność, ale rzadko mamy cokolwiek do powiedzenia na temat uwagi. Wydaje mi się, że jesteśmy na to zbyt zajęci. A jednak bez uwagi nasze życie byłoby puste i bezsensowne.

Gdy piszę te słowa, przy biurku, koło nóg kręci mi się moja dwuletnia córeczka. Czego chce? Mojej miłości? Tak, na swój sposób, ale bardziej bezpośrednio chodzi jej o uwagę. Czystą, niekłamana uwagę.

Dzieci są fachowcami w rozpoznawaniu udawanej uwagi. Być może miłość i uwaga są tym samym. Jedno nie może istnieć bez drugiego. Brytyjski naukowiec Avner Offer nazywa uwagę „uniwersalną walutą dobrego samopoczucia”. Inaczej mówiąc, ludzie, którzy potrafią poświęcić czemuś całą swoją uwagę, są ludźmi szczęśliwymi.

Tashi bierze moje walizki i przenosi je do naszego samochodu. Znając reputację dróg w Bhutanie, miałem nadzieję na coś solidniejszego, na przykład na toyotę land cruiser. A tu, owszem, mamy toyotę, ale nie land cruiser. Wsiadamy do wyeksploatowanej toyoty corolli z 1993 roku. Jest 8.00 rano, a ja przez cały ten nocny lot nie zmrzyłem oka.

– Dokąd chciałby się pan udać?

– Gdzieś, gdzie podają kawę, Tashi.

Jedziemy do małej kawiarni, chociaż nazwanie tego miejsca kawiarnią jest sporym nadużyciem. To po prostu betonowy budynek z kilkoma drewnianymi stolikami i krzeselkami. Podają tu tylko kawę rozpuszczalną. Ponieważ jestem miłośnikiem kawy, wydaje mi się to dość przykre, ale bez skargi wypijam zaserwowany mi napój.

Tashi jest uprzejmy i chętnie spieszy z pomocą. Wkrótce odkrywam, że ma niezwykle dar opisywania rzeczy oczywistych. Mówi na przykład: „Przybyliśmy do naszego celu, proszę pana”, gdy stoimy już na miejscu, albo „Pada, proszę pana”, gdy zdążyliśmy przemoknąć do suchej nitki.

Ma nieskazitelne maniery niczym osiemnastowieczny dworzanin. Otwiera przede mną drzwi, nosi moje walizki i w ogóle krąży nade mną niczym śmigłowiec policji z Los Angeles prowadzący z góry pościg za samochodem. Gdyby tylko mógł mnie nosić, prawdopodobnie by to robił.

Wszystko to czyni jednak z pełną godnością, a nie z pochlebczą służalczością. Bhutan nigdy nie został skolonizowany ani podbity\*,

\* W rzeczywistości Bhutan pozostawał pod brytyjskim protektoratem do 1949 roku. Po raz pierwszy musiał się zrzec części swojego terytorium na rzecz Wielkiej Brytanii w roku 1865. W 1910 roku król Bhutanu podpisał układ, na mocy którego zgodził się na objęcie państwa brytyjskim protektoratem [przyj. red.].

zatem gościnność jego mieszkańców jest szczerą, pozbawioną tego niepotrzebnego nadmiaru szacunku i zwykłego lizania po tyłku, tak typowego dla tej części świata.

Angielski Tashiego jest dość specyficzny. Nie chodzi tylko o silny akcent, ale także o dobór słownictwa. Mój przewodnik mówi na przykład coś takiego: „Czy powinniśmy wziąć nieco szczątkowego jedzenia?”. Początkowo nie wiem, co ma na myśli – co to takiego to szczątkowe jedzenie? Po chwili jednak zdaję sobie sprawę, że chodzi mu o resztki obiadu. Mówię mu, że tego słowa nie używa się w takim kontekście, jednak nic to nie daje i w końcu przestaję go poprawiać.

– No dobrze, Tashi, jedźmy do Thimphu.

Thimphu to stolica Bhutanu i mój przystanek w podróży na najbliższy tydzień.

– Nie możemy tam pojechać, proszę pana.

– Dlaczego nie?

– Droga jest zamknięta.

– Jak długo będzie zamknięta?

– Przez jakiś czas.

W tej części świata stwierdzenie „przez jakiś czas” jest ostatnim, które chciałoby się usłyszeć. „Przez jakiś czas” można zdobyć fortunę i ją stracić. „Przez jakiś czas” powstawały i upadały całe imperia. Problem w tym, że „przez jakiś czas” może oznaczać zarówno pięć minut, jak i pięć dni czy pięć lat. Nie ma znaczenia, na co się czeka – następny autobus do Bombaju czy przeszczep nerki – trzeba poczekać „przez jakiś czas”. No chyba, że się nie doczekamy.

– Może pojedźmy jakąś inną trasą – sugeruję grzecznie.

Dla Tashiego i kierowcy brzmi to jak świetny dowcip. Śmieją się w głos i poklepują po kolanach. Inna trasa! Dobrze, proszę pana, cha, cha, inna trasa, cha, cha.

Nie ma żadnej innej trasy. Trudno tu powiedzieć o jakiegokolwiek trasie. Jedyna biegnąca przez Bhutan droga to „niebiański trakt stu tysięcy zakrętów”, na wyrost nazwany autostradą krajową, podczas gdy nie jest nawet drogą w pełnym znaczeniu tego słowa, bo ma szerokość zaledwie jednego samochodu.

Siedzimy zatem i czekamy. Nie mam nic przeciwko temu. Budyjski styl oczekiwania. Daje mi to kilka minut na przemyślenia i na złapanie oddechu, co na tej wysokości wcale nie jest takie proste.

Dlaczego tu jestem? Jakie miejsce zajmuje Bhutan w moim atlasie szczęścia? Tak, ten kraj przypomina Szangri-La Hiltona, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Krajobraz jest niewątpliwie tym, co mnie tutaj urzeka. A szczęście odnaleźć można nawet w hymnie narodowym: „Niech rozkwita nauka Buddy, słońce pokoju i szczęścia niechaj opromienia lud”. No i jest jeszcze bhutańska polityka Szczęścia Krajowego Brutto. Mówiąc w skrócie, chodzi o to, aby rozwój narodu mierzyć nie jego dochodami czy wysokością produktu narodowego, ale poziomem szczęścia obywateli kraju. To idea, która odzwierciedla całkowicie odmienne podejście do kwestii pieniędzy i satysfakcji, a także do zobowiązań rządu wobec obywateli.

Dręczą mnie jednak pewne wątpliwości. Czy Bhutan naprawdę jest „laboratorium pracującym na rzecz polepszenia jakości życia ludzkiego”, jak stwierdził jeden z obserwatorów? A może to tylko kolejna „gówniana nora”, by posłużyć się mało eleganckim terminem popularnym wśród zagranicznych korespondentów na określenie kraju, w którym rząd jest skorumpowany, drogi zniszczone, a kawa występuje tylko w formie rozpuszczalnej.

Jeszcze za wcześnie, bym mógł odpowiedzieć sobie na którekolwiek z tych pytań, dlatego pociechy szukam w słowach Conwaya, który próbował podnieść na duchu swoich towarzyszy w Szangri-La: „Jesteśmy tu i koniec. Na razie lepszej pociechy, jak ta refleksja, nie widać”.

W końcu, po „pewnym czasie” oczekiwania, droga do Thimphu zostaje otwarta i wsiadamy do naszej toyoty. Szybko odkrywam, że jazda samochodem po Bhutanie nie jest dla osób o słabym sercu. Ostre zakręty, przepaście tuż przy krawędzi drogi (żadnych barierek) i kierowca, który wierzy w reinkarnację, sprawiają, że staje się to przerażającym doświadczeniem. Na bhutańskich drogach nie ma ateistów.

Na szczęście przesypiam znaczną część drogi, budząc się dopiero w momencie, gdy pniemy się na szczyt stromego wzgórza. Bhutańscy uczniowie, wśród gwaru i śmiechu, rozstępują się przed naszą corollą

niczmy Morze Czerwone przed Mojżeszem. Czynią to uprzejmie, bez żadnych uwag czy nieprzychylnych spojrzeń. Uderza mnie coś jeszcze – a raczej brak czegoś. Nigdzie tutaj nie ma żadnych billboardów ani neonów; w Bhutanie reklamy są prawie nieznanne, a neonowe znaki jeszcze przed kilku laty były tu całkowicie zakazane. Jedyne, co dostrzegam, to ręcznie malowaną tablicę, podpartą dwoma kawałkami drewna i ustawioną na poboczu:

Gdy zetniemy ostatnie drzewo,  
gdy opróżnimy ostatnią rzekę,  
gdy złowimy ostatnią rybę,  
dopiero wtedy człowiek zrozumie,  
że nie da się jeść pieniędzy.

Zastanawiam się nad tymi słowami, gdy corolla zajeżdża przed gospodę zbudowaną na szczycie wzgórza. Wszyscy pracownicy witają mnie niczym jakiegoś udzielnego księcia. Kolejny biały szal trafia na moją szyję, po czym zostaję odprowadzony do przygotowanego dla mnie pokoju. Właścicielka, urodziwa kobieta o imieniu Sangay, informuje mnie, że na tym samym łóżku, które dostałem, spał kiedyś Richard Gere.

– Pamiętam to dokładnie – mówi. – Powiedział – jak on to ujął? – że widok z tego pokoju wart jest milion dolarów.

Panorama rzeczywiście przedstawia się imponująco: tuż poniżej roztacza się widok na miasto Thimphu z morzem domów o białych i zielonych dachach, na horyzoncie widać góry i postrzępione chmurki. Jednak określenie „widok wart milion dolarów” razi mnie swoją nie stosownością. Nie jest odpowiednie tutaj, w kraju, w którym czyni się starania, by zminimalizować znaczenie pieniędzy w życiu obywateli.

Wyczerpany wyciągam się na materacu. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić Richarda Gere’a, *tego* Richarda Gere’a, leżącego w tym samym łóżku. Obraz, który pojawia mi się przed oczami, nie bardzo przypada mi do gustu, zaczynam więc myśleć o baseballu. To nic osobistego. Nie mam nic przeciwko Richardowi Gere’owi. Wręcz

przeciwnie, mogę z ręką na sercu stwierdzić, że gdyby miał większy talent aktorski, być może nie byłbym teraz żonaty. Na pierwszej randce z moją żoną poszliśmy do kina w Greenwich Village na film z Richardem Gere’em. *Mr. Jones* był kiepski pod tak wieloma względami, że pozostała część wieczoru spędziliśmy na analizowaniu wad tego dzieła, nawiązując przy okazji głębokie i silne więzy, które przetrwały po dziś dzień. Tak więc teraz, skoro nadarzyła się po temu okazja, chciałbym powiedzieć: dziękuję, Richardzie Gere, dziękuję.

Śpię niespokojnie, mam dziwaczne sny wywołane, jak mi nie mam, dużą wysokością. Następnego ranka budzi mnie tętent koni i niknące w oddali krzyki. Powstanie? Przewrót?

– Nie, to prawdopodobnie zawody łucznicze – wyjaśnia Sangay przy śniadaniu, na które dostałem jajko na miękko i tosty. Łucznictwo to w Bhutanie sport narodowy. Uprawia się go radośnie i głośno. Bhutańczycy modlą się po cichu, wszystko inne robią hałaśliwie.

Po śniadaniu mam wolną chwilę do przyjazdu Tashiego. Postanawiam więc zająć się czymś, co jeszcze niedawno było w tym kraju niemożliwe. Oglądam telewizję. Bhutan to ostatnie państwo na świecie, w którym wprowadzono telewizję – uczyniono to dopiero w 1999 roku. Szybko jednak telewizja stała się niezbędną – i kontrowersyjną – częścią życia Bhutańczyków. Nastolatki, z nieznanymi bliżej przyczyn, zakochały się we *Wrestlemanii*. Początkowo rząd zakazał oglądania kanałów, na których pokazywano zawody wrestlingu. Jednak ostatecznie, po wielowiekowej izolacji, Bhutan został podbity przez postaci pokroju Hulka Hogana.

Sangay Ngedup, były premier Bhutanu, w wywiadzie dla brytyjskiej gazety „The Guardian”, tak wyraził swoje obawy, które podziela wielu jego rodaków: „Jeszcze do niedawna wzbranialiśmy się przed zabiciem owada, a teraz my, Bhutańczycy, jesteśmy zachęceni do oglądania w telewizji jak ludzie odstrzeliwują sobie głowy”.

Wiadomości w BBS – Bhutan Broadcasting Service – są dobrze przygotowane. Ubrany w *gho* prezenter czyta kolejne informacje głosem sugerującym szczególnie mieszankę dystansu i poufałości, którą do perfekcji opanowali amerykańscy dziennikarze. Za plecami ma zdjęcie

Thimphu Dzong, bhutańskiego odpowiednika Białego Domu. Na samym dole ekranu widać jakieś robaczki. Zaraz, zaraz. One się ruszają. Co się dzieje? Przysuwam krzesło bliżej do ekranu. O mój Boże, oni tu mają podpisy! Zaledwie siedem lat telewizji, a już mają podpisy. W takim właśnie tempie Bhutan wkracza w XXI wiek. Są tu już kawiarenki internetowe i telefony komórkowe, a także ostateczny wyznacznik cywilizacji – przynajmniej tej z czasów około 1973 roku – dyskoteki. Pamiętajmy, że jest to kraj, w którym do 1962 roku nie było ani jednej drogi, szkoły ani szpitala. Państwo nie miało nawet własnej waluty.

Mój przewodnik przyjeżdża po mnie i ogłasza z wielką pompą: „Przybyłem, proszę pana”. Dochodzę do wniosku, że Tashi to jednak nie szpieg. Nie jest po temu wystarczająco bystry. No chyba, że byłby bardzo dobrym szpiegiem. Nie, to raczej przewodnik, czy też pomagier. Osoba, która umawia spotkania, tłumaczy, wyciąga informacje od opornych urzędników, dostarcza soczystych anegdot, robi zdjęcia, przynosi kawę, a czasem nawet pomaga w pisaniu artykułów. Inny mi słowy, pomagier wykonuje większą część zadań korespondenta, w zamian za niską płacę i bez szans na jakiegokolwiek uznanie. Niektórzy uważają, że to niesprawiedliwe, a nawet nieetyczne. Być może, ale relacja korespondent–pomagier ma długą i bogatą tradycję. A ja nie zamierzam stawiać czoła tradycji.

Obawiam się jednak, że Tashi nie najlepiej nadaje się do tej roli. Jego angielski pozostawia wiele do życzenia, a chłopak ewidentnie jest w tej branży całkowicie nowy – zielony jak awokado. Najwidoczniej musiałem się z kimś podzielić tymi swoimi rozterkami, gdyż odbieram telefon od przełożonej Tashiego, Sonam, kierowniczkę firmy turystycznej organizującej moją podróż.

– Rozumiem, że nie jest pan zadowolony z usług Tashiego – mówi wprost. Jestem pod wrażeniem – to naprawdę jest mały kraj.

– Nieee – kłamię, zażenowany własnym brakiem dyskrecji. – Jestem z niego całkowicie zadowolony.

Sonam obstaje jednak przy swoim, proponując mi innego przewodnika. Mogłem się zgodzić i zrezygnować z Tashiego, ale z jakichś

przyczyn, których sam do końca nie rozumiem, powstrzymuję się przed tym.

Pogłoski o moim niezadowoleniu musiały jednak dotrzeć także i do uszu samego zainteresowanego. Tashi zinterpretował moją krytykę na swój sposób, przyjmując, że najwyraźniej nie opiekuję się mną wystarczająco troskliwie, nie otwiera przede mną wszystkich drzwi i nie nosi wszystkich toreb. Teraz stara się w dwójnasób.

Zjeżdżamy ze wzgórza w stronę Thimphu. Każdy zbieracz ciekawostek odwiedzający to miasto chętnie podkreśla, że jest to jedyna na świecie stolica państwa, w której nie ma ani jednego sygnalizatora świetlnego, zatem i ja muszę o tym napisać. Thimphu to jedyna na świecie stolica państwa, w której nie ma ani jednego sygnalizatora świetlnego. Na głównym skrzyżowaniu stoi policjant, który w białych rękawiczkach kieruje ruchem, wykonując tak precyzyjne, że aż komiczne gesty. Kilka lat temu policjanta próbowano zastąpić światłami, ale królowi się to nie spodobało, więc – jako że król, tak jak papież, jest nieomylny – wszyscy się zgodzili, że był to zły pomysł i światła zdemontowano.

Thimphu to uroczne miasto, wielkości mniej więcej czterdziestotysięcznego Burlington w stanie Vermont. Niebo tutaj poprzecinane jest płataniną linii elektrycznych i flag modlitewnych. Życie w Thimphu bardzo przypomina mi opisy życia w Szangri-La i portrety jego mieszkańców: „Ciekawi, lecz nie natrętni, dobroduszni, uprzejmi i beztroscy, krzątali się koło swych zajęć bez nerwowego pośpiechu”.

Thimphu nie jest pozbawione także i stosownej dozy rozgardiaszu i chaosu: wiecznie plotkujący indyjscy robotnicy, tanie hotele, anteny satelitarne wyrastające z dachów jak grzyby po deszczu, znak z podziękowaniem za powstrzymanie się od plucie na ulicy, obskurne kafejki internetowe, rozchwiane bambusowe rusztowania, poparzeni przez słońce turyści w tenisówkach, otoczeni przewodnikami przypominającymi agentów służb specjalnych, Bhutanki z parasolkami chroniącymi przed południowym słońcem.

I bezdomne psy. Mnóstwo bezdomnych psów. Leżą na słońcu lub – jeśli przyjdzie im na to ochota – ostentacyjnie włączają się po

ulicach. Psy wiedzą, że nikt nie odważyłby się podnieść na nie ręki. W Bhutanie psy są królami szosy. Podobną arogancję u zwierzęcia ostatni raz widziałem w Indiach – tamtejsze krowy, dufne w swoją świętość, miały poważny problem z właściwym nastawieniem do świata. Szwendają się pośrodku drogi, z namaszczeniem przezuwając coś w pyskach, jakby rzucały kierowcom wyzwanie – tak, wyzwanie! – „No, dalej, przejedź mnie, koleś! Zobaczysz, jak w kolejnym wcieleniu zostaniesz guzcem”.

Osobiście w swoim następnym wcieleniu chciałbym zostać bhutańskim psem. Psy mają tutaj raj. Dlaczego? Z pewnością wynika to z buddyjskiego szacunku względem wszystkiego, co żywe. Ale nie jest to do końca tak altruistyczna postawa, jak by się mogło wydawać. Jeżeli wierzy się w reinkarnację, wierzy się także, że w następnym wcieleniu można powrócić na ziemię pod postacią konia lub krowy i z pewnością chciałoby się wówczas być dobrze traktowanym. Ringzin Dorji, cytowany przez Barbarę Crossette w książce na temat buddyjskich królestw w Himalajach, tak opisuje to zjawisko: „Dziś moja matka jest człowiekiem. Ale kiedy umrę, mogę się na powrót narodzić jako pies, i wtedy moja matka będzie suką. Dlatego powinienem zdać sobie sprawę, że wszystkie żywe organizmy są moimi rodzicami. Moi rodzice są nieskończeni. Nie pozwolę, by cierpieli”.

Gdy po raz pierwszy przeczytałem te słowa, wywarły one na mnie spore wrażenie. Nie chodzi mi tutaj wyłącznie o wątpliwej reputacji twierdzenie, jakoby moja matka mogła być suką, ale także o dużo głębszą myśl – że mamy nieskończoną liczbę rodziców. Że wszyscy jesteśmy ze sobą spokrewnieni.

Biorę do ręki gazetę „Bhutan Observer”. W oczy rzuca mi się nagłówek: „Mroki pokątnego handlu ulicznego”. No nie – myślę sobie – Bhutan ma problem z narkotykami albo, jeszcze gorzej, handluje się tu przemycaną bronią. Zabieram się za lekturę. „Nielegalnie sprzedawane towary to głównie owoce, warzywa i świeże produkty mleczne”. Okazuje się, że straganiarze nie są w stanie sprzedać wszystkich swoich produktów podczas weekendowego targu, zostają więc w Thimphu

do poniedziałku i potajemnie upłynniają cukinię i szparagi, zanim wrócą do swoich wiosek.

Najwyraźniej w Bhutanie jest to formą przestępstwa. Martwi to policję, która proceder ów postrzega jako równię pochyłą: czarny rynek szparagów i cukinii z łatwością może się przekształcić w czarny rynek... także i innych warzyw.

Niski poziom przestępczości w Bhutanie – o morderstwach nie słyszy się tu wcale – niewątpliwie przyczynia się do podniesienia ogólnego poziomu szczęśliwości. Nie dziwi fakt, że mieszkańcy krajów, w których przestępstwa są na porządku dziennym, nie czują się szczęśliwi (choć i tu są wyjątki: przykładowo, Puerto Rico zajmuje wysoką pozycję w obu rankingach – i przestępczości, i poziomu szczęścia). Powody takiego stanu rzeczy są jednak mniej oczywiste, niż można by sądzić. Oczywiście osoba, która została obrabowana czy pobita, raczej nie będzie odczuwała z tego powodu szczęścia, ale bezpośrednie ofiary przestępstw stanowią tylko niewielki odsetek populacji (przynajmniej w większości państw). To nie sama przestępczość sprawia, że dane miejsce jest uważane za nieszczęśliwe. Kluczowa rola odgrywa tu raczej poczucie strachu dotyczące wszystkich, nawet tych, którzy nigdy nie byli – i prawdopodobnie nie będą – ofiarami przestępstw.

W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci Bhutan poczynił ogromny krok naprzód – podniósł różnorakie współczynniki, którymi tak bardzo podniecają się statystycy. Średnia długość życia wydłużyła się z 42 do 64 lat (choć to nadal daleko do wieku 250 lat, jakim mogło się poszczycić Szangri-La). Rząd Bhutanu zapewnia swoim obywatelom bezpłatną opieką medyczną i edukację. Bhutan to także pierwszy na świecie kraj, w którym zakazano sprzedaży tytoniu. Kraj, w którym więcej jest mnichów niż żołnierzy. Tutejsza armia wytwarza większość alkoholi, włącznie z piwem red panda i moim ulubionym trunkiem, dragon rum. Wyobraźmy sobie, jak wyglądałby świat, gdyby wszystkie armie świata zajęły się produkcją alkoholu. „Rób gorzałę, nie wojnę” – mogłoby brzmieć nowe hasło pacyfistów.

Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat bhutańskiej polityki Szczęścia Krajowego Brutto, której celem jest wzbogacenie tradycyjnej miary postępu, jaką stanowi wysokość produktu krajowego brutto, o dodatkową kategorię – poziom szczęścia. Czy to aby nie żart? Każdy, kto cokolwiek wiedział o Bhutanie, radził mi, bym spotkał się z Karma Urą. Karma stoi na czele najważniejszego ośrodka doradczego w Bhutanie, który, tak się składa, jest równocześnie jedynym takim ośrodkiem w kraju. Nie mogę się doczekać spotkania z tym człowiekiem, po części dlatego, że jest on intelektualnym przywódcą Bhutanu i z tego powodu z pewnością głęboko rozmyślał nad naturą szczęścia, a po części dlatego, że jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka o imieniu Karma.

Wspólnie z Tashim udajemy się na przedmieścia Thimphu, niedaleko rezydencji króla. Stajemy przed starym budynkiem. Aby dotrzeć do wejścia, balansuję na wąskiej kładce, przechodząc ponad pełnym błota dołem. Po chwili zostaję skierowany do sali konferencyjnej. Nie spodziewam się po niej zbyt wiele, ale gdy otwieram drzwi, staję zaskoczony. Eleganckie, ze smakiem zaprojektowane wnętrze dzieli na pół długi drewniany stół. Bhutan idzie pod prąd trendowi popularnemu w większości rozwijających się krajów, gdzie pieniądze inwestuje się przede wszystkim w wygląd zewnętrzny i w budowanie pozorów – lśniący terminal lotniska otoczony slumsami, hotele z lśniącymi przepychem holami, ale kiepskimi pokojami. W Bhutanie to, co wewnątrz, często robi większe wrażenie niż to, co na zewnątrz.

Wręczam Karmie biały szal, który sam otrzymałem od Tashiego – taki prezent przechodni – a mój gest spotyka się z jego delikatnym uśmiechem. Karma ma szczupłą, przystojną twarz i odziany jest w kraciaste *gho*. Mówi powoli, z namysłem. Nie chodzi o to, że zastanawia się nad każdą wypowiedzią. Myśli w miarę mówienia i obie te czynności idealnie ze sobą synchronizuje. Chwile milczenia sprawiają, że czuję się nieswojo – nicność zawsze doprowadzała mnie do szału – i muszę się powstrzymać przed pokusą wypełnienia każdej przerwy w rozmowie własnymi słowami.

Karma Ura uważa, że rząd jest jak pilot sterujący samolotem. Przy złej pogodzie musi korzystać wyłącznie z dostępnych mu instrumen-

tów pokładowych. Ale co będzie, jeśli wskazania mierników okażą się błędne? Samolot zejdzie z kursu, nawet jeśli pilot jest doświadczony i umie nim sterować. Tak właśnie – zdaniem Karmy – wygląda dzisiejszy świat, z jego uzależnieniem od produktu krajowego brutto jako jedynej realnej miary postępu narodu.

– Weźmy na przykład edukację – mówi. – Mierzmy liczbę osób przyjętych na studia, ale nie patrzmy na treść nauczania. Albo zastanówmy się nad Japonią. Obywatele tego kraju żyją długo, ale jaka jest jakość ich życia po sześćdziesiątce?

Ma rację. Mierzmy to, co można zmierzyć najłatwiej, a nie to, co jest naprawdę ważne w życiu człowieka. Dlatego właśnie władze Bhutanu postanowiły zadbać także o poziom Szczęścia Krajowego Brutto.

Czuję, że wracam do swojego starego, chłodnego, „profesorskiego” stylu prowadzenia wywiadu i zdaję sobie sprawę, że teraz powinienem uderzyć w bardziej osobiste tony.

– Karma, czy jest pan szczęśliwy?

– Patrząc na całe swoje dotychczasowe życie, uważam, że odpowiedź na to pytanie jest twierdząca. Osiągnąłem szczęście, ponieważ nie mam nierealistycznych oczekiwań.

To wyjaśnienie wydaje mi się dziwne. W Ameryce wysokie ambicje są uważane za główną siłę napędową człowieka, za benzynę w zbiorniku, silnik napędzający nasze marzenia i – rozszerzając tę metaforę – nasze dążenie do szczęścia.

– Mój sposób myślenia jest całkowicie odmienny – wyjaśnia. – Nie stawiam sobie żadnych wyzwań, ponieważ życie samo w sobie jest walką i jeśli tylko będę zadowolony, jeśli uda mi się dobrze przeżyć dzień, wieczorem mogę odetchnąć i powiedzieć sobie, że to był dobry dzień.

– Czy miewa pan złe dni?

– Tak, ale trzeba umieścić je w odpowiedniej perspektywie i uznać za nieznaczące. Nawet jeśli osiągnie się wielkie rzeczy, w umyśle rozgrywa się pewien teatralny spektakl. Wydaje się, że osiągnięcie jest takie ważne, ale w rzeczywistości nie wpłynęło ono w żaden znaczący sposób na życie innych.

– Mówi pan zatem, że zarówno nasze największe osiągnięcia, jak i nasze największe niepowodzenia są równie mało znaczące?

– Tak. Chcemy mieć poczucie, że naprawdę coś zmieniamy. No dobrze, w skali tygodnia to rzeczywiście mogłoby być możliwe. Ale weźmy skalę kolejnych 40 lat, a wtedy już nasz wyczyn zblednie. Weźmy okres trzech pokoleń, a uświadomimy sobie, że w tym czasie zostaniemy zapomniani i nie pozostawimy po sobie żadnego śladu.

– I to stanowi dla pana źródło dobrego samopoczucia? Dla mnie to bardzo przygnębiające.

– Nie, w buddyzmie nie ma nic większego od współczucia. Jeśli zrobiłeś coś dobrego, powinieneś w danym momencie odczuć zadowolenie. Zabijałem kiedyś wiele much i komarów, gdyż obawiałem się malarii, teraz umiem się już przed tym powstrzymać. Daję sobie chwilę na ochłonięcie i myślę: „No cóż, one nie robią mi krzywdy, nie zagrażają mi bezpośrednio. Są bezbronni. Dlaczego więc miałbym je zabijać?”. To moment – wiem, że samo to działanie jest mało znaczące – ale moment prawdziwego spokoju. Po prostu wszystko zostaje obok mnie.

I wtedy robię coś, co mnie samego zdumiewa. Zaczynam mówić o sobie. Prawdę. Nie wiem, co mnie do tego skłania. Może łagodność tego człowieka, a może fakt, że na imię ma Karma, albo też w ten sposób wpłynęła na mnie atmosfera Bhutanu – bez względu jednak na przyczynę, opowiadam Karmie pewną historię, która przydarzyła mi się w Miami, kilka tygodni przed wyruszeniem w podróż w poszukiwaniu najszcześniejszego miejsca na świecie.

– Obudź się – słyszę zniecierpliwiony głos lekarza, który właśnie otwiera drzwi do gabinetu.

– Nie śpię – mówię.

– Nie, nie – wyjaśnia lekarz. – Mówię do swojego komputera.

Oczywiście. Dopiero teraz dostrzegam mikrofon przy ustach i błyszczący tablet w jego dłoniach.

Ten dziwny widok pozwala mi na chwilę zapomnieć, dlaczego się tu znalazłem. Odrętwienie w rękach i nogach. Krótki oddech. Objawy, które pogłębiły się w ciągu kilku ostatnich tygodni do tego stopnia, że nie mogę spać.

Znalazłem się w tym decydującym momencie, od którego nie ma już odwrotu – połowa życia już za mną, mam 43 lata. Siedzę w chłodnej szpitalnej izbie przyjęć z lekarzem, który rozmawia ze swoim komputerem, i czekam na wyniki badań rezonansem magnetycznym, które, jak wiem – po prostu to *wiem* – potwierdzą, że mam nieuleczalnego guza mózgu. A może – przy odrobinie szczęścia – chorobę Lou Gehriga. Dwa tygodnie wcześniej, leżąc na wznak w przypominającej sarkofag tubie urządzenia wydającego różne dźwięki i obracającego się wokół mnie, niemal mogłem usłyszeć słowa obsługujących tę maszynę pracowników technicznych: „Biedaczysko, wiele mu już nie zostało”.

Czekając teraz na oficjalne wyniki badań, widzę, jak całe życie przelatuje mi przed oczami niczym jakaś kiepska prezentacja PowerPoint. Końcowy slajd. Śmierć. Dziękujemy za udział w naszym seminarium. Kawa i bajgle dostępne na zewnątrz.

– Mam tu wyniki pańskich badań – odzywa się lekarz.

Wiem, że je masz. Widzę je w twojej zimnej, bezlitosnej dłoni. Daj mi je. Przyjmę to z honorem. Choć chyba jednak nie jestem w stanie się na to zdobyć. Ale i tak chcę je poznać.

– Mam też wyniki badania krwi.

Tak, badanie krwi. Wiem. Ile mi jeszcze zostało?

– I... odkryliśmy...

– Nic. Nie znaleźli niczego – pewnym siebie głosem przerywa mi Karma.

Jestem zaskoczony. Ma rację. Odrętwienie kończyn było spowodowane nierównym oddechem i brakiem odpowiedniego przepływu tlenu – innymi słowy, był to atak paniki. Kolejny przykład hipochondrii.

– Skąd pan to wiedział, Karma?

Karma milczy przez chwilę, a następnie udziela mi odpowiedzi, w której zawarta jest sugestia, recepta:

– Musi pan myśleć o śmierci codziennie przez pięć minut. To pana uleczy i oczyści.

– W jaki sposób?

– Chodzi o to... o ten strach przed śmiercią, strach, że zjedziemy z tego świata, zanim dokonamy wszystkiego, co byśmy chcieli, albo też że nie zobaczymy, jak dorastają nasze dzieci. To właśnie pana nęka.

– Ale codzienne myślenie o śmierci wydaje się takie przygnębiające. Dlaczego miałbym to robić?

– Bogaci ludzie z Zachodu nie dotykali ciał zmarłych, świeżych ran ani zgnilizny. To problem. Bo taka jest rzeczywistość, w której żyje człowiek. Musimy być przygotowani na moment, w którym przestaniemy istnieć.

Opowiada mi historię swojego raka. Diagnoza. Chemioterapia. Operacje w szpitalach daleko od domu. I w końcu remisja.

Teraz to ja siedzę w milczeniu.

Żegnając się z Karmą, postanawiam, że poproszę go o jeszcze jedno spotkanie, zanim opuszczę Bhutan. Następnie z powrotem idę po drewnianej kładce i wsiamam do swojej corolli. Wracamy do hotelu – co Tashi koniecznie musi ogłosić – a ja nie mogę przestać myśleć o wyjątkowym człowieku, którego właśnie spotkałem. Szczęśliwy człowiek. Jest nauczycielem akademickim, studiował w Cambridge. W jednej chwili może dyskutować o analizie regresywnej, a zaraz potem mówić o Buddzie i raku, który omal nie odebrał mu życia. Płynnie przechodzi z jednego tematu na drugi. Życie Karmy stanowi jedność. Organiczną całość. Nie jest to zbiór różnych epizodów – praca, miłość, rodzina – jak u większości osób, które znam. Jak u mnie samego.

Gdy przybywamy do hotelu (co Tashi kwituje donośnym: „Przybyliśmy do hotelu, proszę pana”), nie mam nastroju do rozmowy z kimkolwiek. Wynoszę krzesło na balkon i siadam. Po prostu siedzę. W głowie mi się kręci. Karma Ura zburzył mój dotychczasowy obraz świata. Czyżby pragnienie szczęścia było niskim oczekiwaniem? W jaki sposób mam to odkrycie połączyć ze swoją ambicją, która tak dobrze mi służyła przez całe moje życie? A może jednak nie? Co on powiedział o współczuciu jako ostatecznym pragnieniu? Co mógł mieć na myśli?

I nagle coś dostrzegam. Kilka kroków ode mnie. Chrząszcz. Leży na plecach i bezradnie przebiera w powietrzu nóżkami. Odwracam

wzrok. Po chwili jednak coś z powrotem przyciąga moją uwagę do tego malutkiego stworzenia, które znalazło się w tak rozpaczliwym położeniu.

Zastanawiam się nad możliwymi rozwiązaniami. Opcja numer jeden: mogę zabić chrząszcza i skrócić jego nędzny żywot. Główną zaletą tej opcji jest fakt, że położyłaby kres cierpieniom – i jego, i moim. Opcja numer dwa: mogę zignorować całą sytuację, czyli postąpić tak, jak to zwykle czynię, widząc cierpienie innych. Nie angażuj się. Bądź dobrym dziennikarzem. Za wszelką cenę zachowaj bezstronność. Ale to nie jest historia nadająca się na jakąkolwiek depešę. Nie zobaczę nagłówka: „Śmierć chrząszcza w Himalajach. Rodzina w rozpacz. Materiał wyemitujemy o 11.00”.

Jest jeszcze opcja numer trzy. Mógłbym się wysilić i uratować życie – życie robaka co prawda, ale to wciąż życie. Nieśmiało podchodzę do stworzonka i trącam je czubkiem buta. Robię to jednak za mocno i chrząszcz ląduje kawałek dalej, wciąż leżąc na grzbiecie i przebierając nóżkami. No trudno, kolejna nieudana interwencja humanitarna. Stany Zjednoczone – ze wszystkimi swoimi zasobami – nie były w stanie uratować Somalii ani Iraku, dlatego więc miałbym mieć wyrzuty sumienia, że mnie nie udało się uratować jednego robaka?

Schodzę na dół i zamawiam piwo red panda. Gdy pół godziny później wracam do swojego pokoju, kierowany niezdrową ciekawością wyglądam na patio i widzę, że chrząszcz nadal przebiera nóżkami, choć widać, że powoli opada już z sił. Co mnie to obchodzi? Przecież nienawidzę robali. A co tam, spróbuję raz jeszcze. Tym razem jestem delikatniejszy – chrząszcz w końcu staje na nogi i ucieka. Nawet mi nie dziękuje, ale w porządku. Czuję się dobrze. Uratowałem dziś komuś życie. Zaangażowałem się.

Postscriptum. Gdy wieczorem wyszedłem na patio, znalazłem robaka, jestem pewien, że dokładnie tego samego, znów leżącego na plecach. Nie mogłem w to uwierzyć. Tym razem nie zrobiłem nic. Mimo to miałem spokojną noc. Mogę się założyć, że nikt, nawet sam Karma Ura, nie może uratować głupiego robaka przed nim samym.

Bhutan to kraj wywrócony do góry nogami. Tutaj trzynastka jest uważana za szczęśliwą liczbę. Dzieci witają cię słowami „bye-bye”. Król chce obalić samego siebie.

Albo weźmy marihuanę. W Bhutanie znaleziono nowe zastosowanie dla tego narkotyku. Karmi się nim świnie. Pod wpływem środka odurzającego świnie robią się głodne, więcej jedzą i są dzięki temu bardziej tłuste. Gdy usłyszałem o tym po raz pierwszy, wyobraziłem sobie całe podwórko świń zaciągających się trawką. Świnie maszerują do swojego świńskiego supermarketu i kupują paskudne *burritos* z kurczaka, po czym – widzę to wyraźnie – próbują podgrzać je w mikrofalówce, ale ich pulchne, świńskie racice zakleszczają się w drzwiczkach i świnie kwiczą głośno, tak jak tylko świnie potrafią, dopóki sprzedawca, też świnia, nie podejdzie do nich i nie prosi ich, w świńskim języku, aby zachowywały się nieco ciszej, bo to przecież supermarket, a nie podwórko czy coś.

Takie właśnie myśli miewałem w Bhutanie. Może dałoby się to złożyć na karb dużej wysokości, ale wydaje mi się, że było w tym coś jeszcze. To miejsce zapładniało moją wyobraźnię. Z reguły krótko trzymam wodze fantazji. W Bhutanie puściłem je swobodnie, pozwalając, by różne myśli pojawiały się w nieoczekiwanych momentach.

Wszystko to sprawia, że podróżowanie po Bhutanie wymaga zawieszenia sceptycyzmu, rzeczywistość i fantazja bowiem współistnieją tu w harmonii. Czasem trudno jest odróżnić jedną od drugiej.

Siedzę w hotelowej restauracji i piję herbatę, gdy Sangay, właścicielka hotelu, informuje mnie ni stąd ni zowąd:

– Mój mąż jest bratem Dalajlamy.

– Naprawdę? Bratem Dalajlamy? Nawet nie wiedziałem, że Dalajlama ma brata.

– Nie, nie obecnym bratem, ale w poprzednim życiu. Mój mąż jest dwunastą inkarnacją tybetańskiego lamy.

Takie nieporozumienia zdarzają mi się w Bhutanie bez przerwy. To życie, poprzednie życie, następne życie. Wszystkie są ze sobą radośnie wymieszane. Albo weźmy na przykład tę rozmowę z jedną z młodych, słodkich dziewczyn pracujących w hotelu.

– Ostatnio dużo napadało – zagajam rozmowę.

– Tak proszę pana, chodzi o Dzień Świętego Deszczu. To doroczne święto, którym czcimy koniec pory deszczowej. Po Dniu Świętego Deszczu już nie będzie padało – mówi to z pełnym przekonaniem, tak jakby wyjaśniała jakiemuś cymbałowi, że słońce zawsze wschodzi na wschodzie.

Następnego dnia rzeczywiście przestało padać.

Postanawiam odwiedzić z Tashim weekendowy targ, na którym sprzedaje się owoce, warzywa i rękodzieło: jabłka wielkości ludzkiej głowy i posągi Buddy na kopy. Przy wejściu na targ siedzi astrolog.

– Bardzo dobry, bardzo słynny człowiek – mówi Tashi.

Mężczyzna siedzi w kucki na ziemi, przed nim leży rozpostarty koc. Po chwili dopiero dostrzegam, że jest trędowaty. Brak mu wszystkich palców, pozostały jedynie kikuty. Mimo to udaje mu się utrzymać w nich talię dużych kart do wróżenia. Prosi mnie, bym wybrał trzy spośród nich. Następnie rzucam trzema kostkami do gry. Werdykt: „Wszystko, co robisz teraz, jest w porządku; wszystko będzie w porządku. Wszystkie twoje marzenia się spełnią”. Zastanawiam się, czy tak dobra wróżba ma coś wspólnego z wysokością kwoty, jaką za nią zapłaciłem. Dzielę się swoimi wątpliwościami z Tashim, który zapewnia mnie, że wróżbiarz to „bardzo dobry człowiek, bardzo szanowany”. Tego samego dnia, wieczorem, czytając o przygodach w Bhutanie brytyjskiego podróżnika lorda Ronaldshaya, odkrywam, że przed ponad wiekiem otrzymał on równie optymistyczną wróżbę. „Poproszono mnie o złożenie darów na rzecz bóstwa i rzucenie kostką. Zrobiłem to i, co ciekawe, wyrzuciłem trzy jedyńki. Lama natychmiast uznał to za wyjątkowo szczęśliwe zdarzenie!”

Następnego ranka budzę się po kolejnej niespokojnej nocy, pełnej dziwnych snów – to na pewno musi być wysokość, jestem tego pewien – i schodzę na dół na śniadanie. Zjadając swoje jajka na miękko, słyszę nagle wypowiedziane głębokim barytonem: „Dzień dobry”. Przez chwilę wydaje mi się, że to w telewizji, ale gdy się odwracam na krzesło, wita mnie uśmiechnięty mężczyzna z błyszczącą łysą czaszką

i mięsistymi policzkami. Ma na sobie czerwoną kamizelkę i jasnożółtą koszulę. Wygląda jak młodszy brat Dalajlamy.

Nazywa się Barba Tulku, jest mężem Sangay. Znają go tutaj także pod zaszczytnym imieniem Rinpoche, co znaczy „cenny”. To człowiek pełen ekspresji, z żywymi oczami i tubalnym śmiechem. Gdy mówi, całe jego ciało trzęsie się i kołysze. Barba pochyla się, by coś podkreślić, następnie znów się prostuje i znów pochyla. W ten właśnie sposób, pochylając się i podskakując, opowiada mi swoją historię.

Parę dni przed narodzinami Barby kilku szacownych lamów odwiedziło dom jego rodziców. „Ni stąd ni zowąd w ich ogródku trysnęło źródło z wodą tak białą, że wyglądała niemal jak mleko. Wypełniono nią wszystkie garnki i naczynia. A potem nad domem pojawiła się tęcza”. Jak wyjaśnił mój rozmówca, są to klasyczne znaki wskazujące, że wkrótce narodzi się kolejne wcielenie dalajlamy.

Barba jako dziecko mówił po tybetańsku, choć nigdy się tego języka nie uczył, a bhutański znacznie różni się od tybetańskiego.

Gdy miał 18 lat, pojechał do Indii, by spotkać się z Dalajlamą.

– Dalajlama wziął mnie na stronę i powiedział: „Jesteś wyjątkowy. Gdzie się nauczyłeś tybetańskiego?”. Odparłem, że po prostu znałem ten język. Dalajlama kazał mi przyjść następnego dnia rano.

To właśnie podczas tego porannego spotkania Dalajlama doszedł do wniosku, że jego młody gość o szerokim uśmiechu był reinkarnacją lamy ze wschodniego Tybetu.

Dalajlama wziął młodzieńca pod swoje opiekuńcze skrzydła i zaproponował mu podjęcie studiów w indyjskim mieście Dharamsala, siedzibie tybetańskiego rządu na uchodźstwie.

– To była wspaniała okazja, by docenić moc ustnego przekazu – można bowiem czytać książki, aby poznać pewne idee, ale pisany tekst może wprowadzać w błąd. Najlepsze jest słowo mówione.

Nadal nie wiem, jak mam traktować tego człowieka o łagodnym spojrzeniu i spontanicznym śmiechu. W domu wszystkie te historie o cudach, reinkarnacji i źródłach, z których wypływa mleko, potraktowałbym z przymrużeniem oka, a być może nawet wziąłbym za majaczenia osoby chorej psychicznie. Zmieniam temat.

– Czy Bhutańczycy są szczęśliwi?

Mój rozmówca robi długą pauzę, zanim mi odpowie na to pytanie:

– Być może – po czym wybucha śmiechem tak spontanicznym, że jego ciałem wstrząsają drgawki i konwulsje, aż zaczynam się zastanawiać, czy aby nie dostał jakiegoś ataku. Postanawiam nie drążyć tego tematu. Słucham jego opowieści o różnych rzeczach, zadziwiających rzeczach. O ukrytej krainie, w której znaleźć można duchowe skarby. O tym, jak kiedyś medytował nieprzerwanie przez trzy lata, trzy miesiące i trzy dni.

W pewnym momencie Barba zaczyna opowieść o kimś, kto mieszkał w Bhutanie 500 lat temu – o bożym szaleńcu, który zwał się Drukpa Kunley i był Howardem Sternem\* tybetańskiego buddyźmu. Wyjątkowy, święty człowiek.

– Był niezwykłą osobą. Chadzał do winiarni i zaczepiał kobiety. Jego matka często mu powtarzała: „Kunley, dlaczego nie możesz być taki, jak twój starszy brat, który nieustannie się modli? Popatrz, jakie skupienie maluje się na jego twarzy”.

„Nie, matko – odpowiadał Kunley – mój starszy brat po prostu szuka toalety. To dlatego ma taki wyraz twarzy”. Kunley miał rację, podobnie jak w większości innych spraw. Jego starszy brat nie był przesadnie religijny, a jedynie cierpiął na zaparcia.

Morał całej tej historii, jak objaśnia mi Rinpoche, brzmi:

– Nie możemy osądzać ludzi według ich działań, a jedynie według intencji.

Po raz pierwszy, ale nie ostatni, usłyszałem wtedy o Drukpie Kunleyu, „bożym szaleńcu”. Jak się okazuje, nie można pojąć Bhutanu bez uprzedniego zrozumienia nauk Drukpy Kunleya. Wystarczy o nim wspomnieć, a ludzie natychmiast wybuchają śmiechem. Nie jest to jednak zwykły śmiech, ale śmiech nabożny, o ile oczywiście coś takiego w ogóle istnieje.

Kunley był przedstawicielem ruchu duchowego, którego ideę można określić mianem „szalonej mądrości”. Taki ruch da się od-

\* Howard Stern (ur. 1954) — popularny amerykański dziennikarz i satyryk [przyp. tłum.].

należć w każdej religii. Chryścijanie mają swoich „świętych idiotów”, „szaleńców Chrystusowych”. Muzułmanie – derwiszów. Żydzi – Woody’ego Allena. Jednakże żaden z nich nie był tak szalony – albo tak mądry – jak Drukpa Kunley.

Postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o tej postaci. W wypełnionej po brzegi księgarni w Thimphu znalazłem angielskie tłumaczenie jego dzieł zebranych. Niektóre ich fragmenty są dość obsceniczne, nawet jak na dzisiejsze standardy. W jednym z tekstów Kunley „puszcza wiatry jak smok”. Wielokrotnie zdejmuje kalessy i uwalnia „płonące pioruny mądrości” (tak, tak, robi właśnie to, o czym myślisz). Do tego Drukpa Kunley to wyjątkowy kobieciarz ze szczególnym upodobaniem do dziewcząt. Jak sam mawiał:

– Najlepsze wino jest na dnie wiadra, a szczęście leży poniżej pępka.

Wybryki Kunleya miały pewien sens. Celem jego szokującego zachowania było przebudzenie Bhutańczyków z ich odrętwienia. Keith Dowman, który przetłumaczył teksty Kunleya na angielski, twierdzi, że chodziło o to, aby „emocje, szczególnie pragnienia, nie były tłumione, ale oczyszczane”. To jakby odwrócenie idei starożytnych Greków. Wszystko w nadmiarze, nic z umiarem.

Jestem już spóźniony na popołudniową kawę z Lindą Leaming, Amerykanką, która mieszka w Bhutanie już od dziewięciu lat. Azja zawsze przyciągała osoby poszukujące wyjątkowych duchowych doznań, ale Bhutan pozostawał zamknięty dla obcych aż do lat siedemdziesiątych XX wieku. Nawet teraz nadal trudno się tu dostać. Trzeba tego naprawdę chcieć.

Linda Leaming chciała. Sprzedała cały swój majątek i z Nowego Jorku przeniosła się do Bhutanu, aby uczyć tu angielskiego. Jak sama mówi, zakochała się w tym kraju, a następnie w jego mieszkańcach. Mieszka tutaj już na stałe.

Poleca mi lokal o nazwie Art Café, nowość na mapie Thimphu. Lokal jest przestronny i widny, z jasnymi, drewnianymi podłogami, usłany grubymi poduszkami. Równie dobrze moglibyśmy się znajdować w amerykańskim miasteczku uniwersyteckim. Kobieta za barem

czyta *Tybetańską Księgę Umarłych*. Jak powiedziałem, moglibyśmy być w dowolnym amerykańskim miasteczku studenckim.

Do kawiarni szybkim krokiem wchodzi Linda. Na szyi ma zawiązany wzorzysty szal i cała tryska energią. Najwyraźniej jest spragniona płynnej konwersacji w języku angielskim, wyrzuca bowiem słowa z prędkością karabinu maszynowego.

– Duchowość jest tu wszędzie – twierdzi, zajadając się ciasteczkiem. – Jest w skałach i w drzewach.

To jedno z tych stwierdzeń, które w każdym innym miejscu wywołałoby u mnie salwę śmiechu. Ale nie w Bhutanie. Jak ujął to pewien pisarz: „W Bhutanie nie ma czegoś takiego jak przedmiot nieożywiony”. Tutaj wszystko ma duszę. Przekonanie to jest nie tyle przejawem buddyjskiej religijności, co raczej animistycznej wiary określanej mianem Bon. Dotychczas zawsze utożsamiałem animizm z prymitywnymi wierzeniami, ale jeśli się nad tym głębiej zastanowić, wszystko na tym świecie ma w sobie jakąś siłę witalną, a to brzmi już dość postępowo.

– Tutaj geografia dyktuje sposób życia – kontynuuje Linda. – Izolacja sprawiła, że Bhutan jest dziś taki, a nie inny.

– To dobrze czy źle?

– Dobrze. Góry i izolacja wszystko spowalniają. Tutejsze nastawienie to „cóż robić, *la*”.

Bhutan to kraina *la*. To monosylabiczne słowo spełnia funkcję potwierdzenia grzecznościowego werbalnego tiku. Dołącza się je do wszystkiego, za jego pomocą zmiękczając wypowiedź. *La* oznacza „proszę pana”, ale też „no wiesz”. Lubię brzmienie tego słowa i podczas pobytu w Bhutanie sam go używam, zawsze jednak świadomie i nigdy nie znajdując właściwego rytmu.

– A jak to jest z tobą, Linda? Naprawdę wierzysz w te wszystkie tantryczne bzdury?

– O tak. Dałam się na to złapać – odpowiada. – Złożyłam akt wiary. Gdy tu przyjechałam, byłam typową, neurotyczną kobietą zbliżającą się do czterdziestki. Powiedziałam sobie: „Nie chcę się zestarzeć i zgorzknieć przed czasem”. Bhutan mnie uspokoił i spowolnił.

Znów wypływa temat śmierci. Temat, do którego, co dziwne, często powracam podczas moich poszukiwań szczęścia. Może trudno być naprawdę szczęśliwym, jeśli się wcześniej nie upora z zagadnieniem własnej śmiertelności?

Linda zwierza się, że przed przyjazdem do Bhutanu nigdy tak naprawdę nie widziała trupa.

– Widziałam tu wiele śmierci i cierpienia – informuje mnie, ale ton jej głosu sugeruje, że niekoniecznie jest to coś złego. – Tutaj częściej się myśli o śmierci. Ludzie umierają w sposób bardziej tragiczny, na oczach wszystkich. Ciała zmarłych wystawia się na widok publiczny przez kilka dni.

Są też i pewne niedogodności związane z życiem w Bhutanie.

– Jest mi zimno. W zimie muszę chodzić w płaszczu nawet po domu. Ale co dziwne, człowiek czuje się przez to bardziej świadomy tego, że żyje.

Linda wyjaśnia mi, że wielu mężczyzn w Bhutanie udaje się na trzyletnie medytacje, tak jak zrobił to Rinpoche. Przez trzy lata, trzy miesiące i trzy dni oddają się wyłącznie medytacji. Nawet nie obcinają sobie w tym czasie włosów. „I przez trzy lata nie odzywają się ani słowem”. To dla mnie nie do pomyślenia. Ja bez mówienia wytrzymałem najdłużej dziewięć godzin. I to tylko dlatego, że przez cały ten czas spałem.

Rząd Bhutanu obecnie doprowadza linie elektryczne do miejsc, w których mężczyźni oddają się medytacji – do małych drewnianych chatk zawieszonych na stromych zboczach.

– Jaki inny kraj wydałby 100 000 dolarów na elektryfikację tej małej osady wysoko w górach? Powiedziano by tym ludziom: „Nie, to wy musicie zejść tutaj”.

Tak to właśnie jest w Bhutanie. Robi się tu rzeczy, które nie mają ekonomicznego sensu. Weźmy na przykład rezygnację z milionów dolarów z turystyki czy też odmowę eksportu cennego drewna. Bhutańczycy, choć ubodzy, nie kłaniają się w pas bożkom efektywności i wydajności.

Gdy wybierałem się do Bhutanu, pewien kolega z pracy życzył mi owocnej podróży. Przyjąłem wówczas te życzenia jako coś natu-

ralnego, ale tutaj, w Bhutanie, wydało mi się to absurdalne. Owocna podróż? Dlaczego kładziemy nacisk na rezultaty i nie życzymy sobie radosnej lub po prostu dobrej drogi?

W końcu Linda milknie. Siedzimy w ciszy, która wydaje się wieczna, choć w rzeczywistości trwa zapewne jedynie jakieś 30 sekund. Po chwili Linda spogląda na mnie i mówi:

– Wiesz, jeśli przebywasz tutaj wystarczająco długo, tracisz kontakt z rzeczywistością.

– W dobry czy zły sposób?

– Nie jestem pewna. Sam musisz ocenić.

Następnego ranka jem śniadanie, gdy Rinpoche dosiada się do mojego stolika. W ręku trzyma coś okrągłego, zawiniętego w gazetę. Teatralnym gestem rozwija pakunek. W środku jest jabłko. Największe, jakie kiedykolwiek widziałem. Jabłko wielkości miniaturowej piłki do koszykówki.

Podaje mi owoc. Dziękuję mu i zadaję pytanie o jego pracę w charakterze uzdrowiciela. Ponoć przybywają do niego ludzie z całego świata. Rinpoche mówi, że lekarze z Zachodu robią wiele dobrego, ale że byłoby lepiej, gdyby zrozumieli, iż nie wszystko można wyleczyć za pomocą leków. Zaprasza mnie do siebie, abym mógł go zobaczyć przy pracy. Zgadzam się natychmiast.

– Widzisz, każdy ma swoje osobiste bóstwo, każda osoba, każde dziecko ma swoje guru, a guru to wstrząsa każdym, żeby przywrócić go jego własnej rzeczywistości – w tym momencie Rinpoche potrząsa sąsiednim krzesłem z taką siłą, że obawiam się, iż je połamie. Najwyraźniej wyczuł mój sceptycyzm. – Nie wierzysz mi, prawda?

Pytam go, skąd wie, że to wszystko prawda, skoro nie ma żadnego namacalnego dowodu.

– Widzisz to światło? – pyta, wskazując na lampę wiszącą nad naszymi głowami.

– Tak, widzę.

– Ale nie możesz tego udowodnić. Gdybyś urodził się ślepy, nie mógłbyś jej zobaczyć. Jeśli pragniesz dowodu, nigdy nie doznasz oświecenia.

W Ameryce niewiele osób czuje się szczęśliwymi, ale za to każdy nieustannie mówi o szczęściu. W Bhutanie większość ludzi jest szczęśliwa, ale nikt o tym nie rozmawia. To kraj pozbawiony introspekcji, poradników i poczucia egzystencjalnego niepokoju. Nie ma bhutańskiego dr. Phila\*. W całym kraju jest tylko jeden psychiatra. Nie ma na imię Phil i – ze smutkiem zawiadamiam – nie ma on nawet własnego *show* w telewizji.

Może jednak Platon się mylił. Może życie pod kontrolą nie jest wiele warte. Albo też, ujmując to inaczej i cytując innego błędnego myśliciela: „Zadaj sobie pytanie, czy jesteś człowiekiem szczęśliwym, a zaraz przestaniesz nim być”. To słowa Johna Stuarta Milla, brytyjskiego filozofa żyjącego w XIX wieku, który wierzył, że do szczęścia należy podchodzić bokiem, „jak krab”. Czy Bhutańczycy to naród krabów? A może cała ta idea Szczęścia Krajowego Brutto jest jedynie cwany chwytem marketingowym, podobnym do tego, który kilka lat temu wymyślili na wyspie Aruba? „Przyjedź na Arubę: wyspę, gdzie mieszka szczęście”. Mówiąc wprost: czy dałem się nabrać?

Nie sądzę. Po pierwsze, Bhutańczycy nie są dość wyrafinowani. Cierpią na nadmiar szczeroci, przypadłość wrogą dobremu marketingowi. Bhutańczycy poważnie podchodzą do swojej polityki Szczęścia Krajowego Brutto, ale pod pojęciem „szczęścia” rozumieją coś całkiem odmiennego niż Amerykanie. Dla Bhutańczyków szczęście to przedsięwzięcie zbiorowe.

Określenie „szczęście osobiste” jest dla nich niezrozumiałe – jak wyjaśnił mi to Karma Ura:

– Nie wierzymy w szczęście w stylu Robinsona Crusoe. Szczęście jest związane z relacjami.

Krótki quiz. Co wspólnego mają ze sobą następujące wydarzenia: wojna w Iraku; katastrofa tankowca Exxon Valdez; zwiększenie liczby więźniów w Ameryce? Odpowiedź: wszystkie one mają wpływ na wzrost produktu krajowego brutto (PKB) i w związku z tym uwa-

\* Dr Phil — amerykański *talk-show*, w którym dr Phil zajmuje się rozwiązywaniem różnych problemów psychologicznych i społecznych [przyj. tłum.].

żane są za czynniki „pozytywne”, przynajmniej w oczach ponurych ekonomistów.

Produkt krajowy brutto to suma wszystkich towarów i usług wytwarzanych przez naród w danym czasie. Sprzedaż broni i antybiotyków w jednakowy sposób przyczyniają się do bogactwa narodu (zakładając, że cena sprzedaży jest taka sama). To tak, jakbyśmy liczyli spożywane kalorie, ale nie brali pod uwagę, jakiego są one rodzaju. Produkty z pełnych ziaren czy smalec, a może trutka na szczury. Kalorie to kalorie.

Produkt krajowy brutto nie mierzy, jak to ujął Robert Kennedy, „piękna naszej poezji czy siły naszych małżeństw ani też poziomu debaty publicznej”. PKB to miara wszystkiego, jak wywnioskował Kennedy, „prócz tego, że życie staje się wartościowe”. PKB nie bierze też pod uwagę pracy wolontariuszy, tak zwanej „ekonomii współczucia”. Starsza osoba mieszkająca w domu pomocy społecznej przyczynia się do wzrostu wysokości produktu krajowego brutto, ale osoba, o którą troszczy się rodzina, już nie. Ba – ta druga może być nawet winna spadku PKB, jeśli jej opiekunowie będą musieli pójść na bezpłatny urlop. Wada – egoizm – zostaje w ten sposób przekuta na zaletę.

Ostatnie badania dotyczące poziomu szczęśliwości lub subiektywnie odczuwanego dobrego samopoczucia dowodzą, że za pieniądze rzeczywiście można kupić sobie szczęście. Przynajmniej do pewnej granicy. Granica ta jednak przebiega na zaskakująco niskim poziomie – jakieś 15 000 dolarów rocznie. Przy wyższych współczynnikach związek między dobrobytem a szczęściem gdzieś się ulatnia. Amerykanie są obecnie około trzy razy bogatsi niż jeszcze pół wieku temu, ale wcale nie są przez to szczęśliwsi. To samo dotyczy Japończyków i wielu innych zamożnych narodów. Tak ujął to Richard Layard, profesor z London School of Economics: „Stali się bogatsi, pracują o wiele mniej niż kiedyś, mają dłuższe wakacje, więcej podróżują, żyją dłużej i są zdrowsi. Ale nie są szczęśliwsi”.

Przejdźmy zatem do idei Szczęścia Krajowego Brutto, która po raz pierwszy została zaproponowana przez króla Bhutanu Wangchuka w 1973 roku. Początkowo jednak pomysł ten nie chwycił, aż do momentu, gdy w 1986 roku młody dziennikarz Michael Elliott

przeprowadził z królem wywiad dla „Financial Times”. Nagłówek był bardzo jednoznaczny: *Król Bhutanu twierdzi: Szczęście Krajowe Brutto jest ważniejsze niż produkt krajowy brutto.*

Konwencjonalnie myślący ekonomiści prawdopodobnie uznali, że wysoko w Himalajach król cierpi na niedobór tlenu. A może znów zjadł coś nieodpowiedniego? Przecież szczęścia nie można mierzyć, a nawet gdyby dało się to zrobić, to w jaki sposób rząd może przyjąć politykę mającą na celu zwiększenie poziomu szczęścia? To czysty absurd.

Jednakże ideę tę podchwycyło w krajach rozwijających się, a nawet w kilku bogatych wysoko uprzemysłowionych państwach. Zabrano się za pisanie rozpraw naukowych. Zorganizowano parę konferencji. Posypały się pochwały. „Bhutan to pierwszy kraj, który oficjalnie mówi «nie» i rzuca wyzwanie twierdzeniu, jakoby pieniądze same w sobie były dobrem absolutnym” – pisał Jeff Johnson w kompendium zatytułowanym *Gross National Happiness and Development*.

Kanadyjski filozof John Ralston Saul opisuje ideę Szczęścia Krajowego Brutto jako wyśmienity trik. „Robimy «pstryk!» i zmieniamy temat. Nagle mówimy o czymś zupełnie innym. Nie próbujemy wprowadzić poprawek do starego dyskursu – wprowadzamy coś całkowicie nowego; to właśnie jest najważniejsze i najsprytniejsze, jeśli chodzi o pojęcie Szczęścia Krajowego Brutto”.

Drukpa Kunley, „boży szalencie” i szarlatan pierwszej wody, zakochałby się od razu w idei Szczęścia Krajowego Brutto. Jest ona tak absurdalna i tak dziwaczna, że wszystkich wyrzywa z odrętwienia.

Alcym dokładnie jest Szczęście Krajowe Brutto? Na czym ono polega? Najlepsze wyjaśnienie dał mi pewien brzuchaty właściciel hotelu w Bhutanie, Sanjay Penjor. Jego zdaniem SKB „oznacza rozumienie własnych ograniczeń i wiedzę, kiedy ma się czegoś już dość”. Wolny rynek dał światu wiele dobrego, ale jakoś nie radzi sobie z pojęciem „dość”. Jak ujął to ekonomista Ernst Friedrich Schumacher: „Są biedne kraje, które mają zbyt mało. Ale gdzie znajdziemy bogaty kraj, który mówi: «Stop! Mamy już dość!»? Taki nie istnieje”.

Bogactwo wyzwala, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Daje nam wytchnienie od pracy fizycznej, od pochylonych pod palącym

słońcem pleców czy od przewracania hamburgerów, które jest współczesnym odpowiednikiem pracy w polu. Ale bogactwo może także ograniczać ludzkiego ducha, o czym pamięta niewielu ekonomistów. Jak stwierdził Schumacher: „Im bogatszy kraj, tym trudniej robić wartościowe rzeczy, które nie zapewniają natychmiastowej korzyści”. To bardzo radykalne i głębokie stwierdzenie. W bogatym, uprzemysłowanym kraju, który powinien zapewniać ludziom wiele wolnego czasu, jesteśmy zniechęceni do robienia wszystkiego, co nie jest produktywnie – zarówno w wymiarze finansowym, jak i w sensie bezpośredniej przyjemności. Natomiast Bhutańczycy z radością poświęcą cały dzień na grę w rzutki albo na zwykłe leniuchowanie. To jeszcze jedno podobieństwo do Szangri-La – zastanówmy się nad następującym dialogiem między Miss Brinklow, brytyjską misjonarką, a Changiem, enigmatycznym gospodarzem z Szangri-La.

- Co robią lamowie? – pyta Miss Brinklow.
- Oddają się kontemplacji i poszukiwaniom prawdy.
- Ale to oznacza, że nic nie robią.
- W takim razie – robią nic.

Albert Einstein powiedział kiedyś, że żadnego problemu nie da się rozwiązać na tym samym poziomie świadomości, na którym on powstał. Ekonomia dawno już powinna była przejść taką radykalną zmianę w sposobie rozumowania, jaką Einstein zaserwował fizyce. Czy program Szczęścia Krajowego Brutto stanowi taki właśnie przełom? Czy to odpowiedź, której tak wielu z nas szuka? Niekoniecznie, przynajmniej jeszcze nie, ale warto postawić to pytanie. To ważniejsze niż można by sądzić.

W ramach oficjalnej polityki rządu Bhutanu każda decyzja i każde ustalenie analizowane są w kontekście pojęcia Szczęścia Krajowego Brutto. Czy dane działanie zwiększy, czy zmniejszy ogólny poziom szczęśliwości naszych obywateli? To bez wątpienia szlachetny cel, ale czy takie podejście się sprawdza? Aby się tego dowiedzieć, muszą porozmawiać z członkiem bhutańskiego rządu.

Okazuje się, że to wcale nie takie proste. Biorąc pod uwagę fakt, że zarządzają mikroskopijnym społeczeństwem, malutką kropką na

mapie świata (zakładając oczywiście, że w ogóle państewko to zostanie na niej uwzględnione), tutejsi urzędnicy są bardzo trudno dostępni. Nie mówię tu już nawet o królu, który jest uważany za boga. Postanowiłem zatem skontaktować się z ministrem spraw wewnętrznych pełniącym jednocześnie urząd ambasadora szczęścia.

Niestety, poinformowano mnie, że Szacowny Pan Minister jest zbyt zajęty, by się ze mną zobaczyć. W tej sytuacji zrobiłem więc to, co zrobiłby każdy szanujący się dziennikarz: wkręciłem się na jego imprezę. Wydarzenie to nosiło nazwę „Poczuj SKB” i było sponsorowane przez grupę mieszkających w Bhutanie japońskich entuzjastów tej idei. Minister spraw wewnętrznych był honorowym gościem. Zająłem miejsce w pierwszym rządzie. Gdy na sali pojawił się minister, wszyscy wstali. Zobaczyłem schludnie ubranego, pełnego godności mężczyznę, z pasemkami siwizny na skroniach, który – według mojej oceny – dobiegał już sześćdziesiątki.

Na scenie ustawiono gigantycznego żurawia z papieru i napis: „Miłość, wzruszenie, uczucie”. No nie. Przygotowuję się na seans cikliwego sentymentalizmu. Japońscy wyznawcy idei uszczęśliwiania innych wyświetlają film pokazujący zbombardowane Nagasaki. Na ekranie pojawiają się okropne sceny. Dzieci ze skórą odchodzącą od ciała jak by to była kolejna warstwa ubrania. Mężczyźni z oczami wyłazającymi z oczodołów. Ludzie na widowni zaczynają spoglądać w moją stronę – jestem tu jedynym Amerykaninem – jak gdybym to ja był osobiście odpowiedzialny za zrzucenie bomby.

Nie jestem pewien, jaki związek ma to wszystko ze szczęściem, może oprócz faktu, że bomba atomowa niewątpliwie znacznie zmniejszyła poziom szczęśliwości w tym mieście. To właśnie główny problem – choć tylko jeden z wielu – z ideą Szczęścia Krajowego Brutto. Jest to koncepcja dość mętna, przez co łatwo zostaje przejęta przez każdego, kto jest rzecznikiem jakiegś – może nawet i słusznej – sprawy. W tym momencie Szczęście Krajowe Brutto staje się kolejnym sloganem, nie zaś nową filozofią ekonomii ani nowym sposobem życia.

Po filmie następuje krótka przerwa. Idę za ministrem, który właśnie ruszył w kierunku ustawionego na zewnątrz stołu z bufetem. Jedną

ręką żongluje talerzem pierożków *momo*, w drugiej trzyma szklanekę soku jabłkowego.

– Co wspólnego ma Nagasaki z programem Szczęścia Krajowego Brutto? – przystępuję do ataku. Udaje mi się go zaskoczyć. Moje natarcie wywołuje u niego chwilowe zmieszanie – ale ułamek sekundy później odnajduje właściwą, dyplomatyczną odpowiedź.

– Szczerze wierzę, że kraj, który jest oddany idei szczęścia, nie może być wojowniczy; jeśli nie będziemy prowadzili zrównoważonego życia, zaczniemy walczyć ze sobą o zasoby. Nie tylko o ropę i niekoniecznie będą to wojny między państwami. Może to być na przykład wojna o wodę między San Diego i Los Angeles.

Wraca do sali konferencyjnej. Idę za nim i zadaję mu kolejne pytanie:

– Czy przyjęcie polityki szczęścia krajowego nie stanowi obciążenia dla tego małego kraju, nie tworzy nadziei, którym może być trudno sprostać?

– Bhutan nigdy nie twierdził, że jest narodem ludzi szczęśliwych – odparowuje. – Mówimy jedynie, że jesteśmy zaangażowani w proces budowy Szczęścia Krajowego Brutto. To nasz cel.

– Ale wiele osób w Bhutanie, ci mieszkańcy małych wiosek, nawet jeszcze nie słyszeli o tym programie – nie daję za wygraną.

– Nie słyszeli, ale żyją tą ideą.

Dobra odpowiedź. Może tylko inteligentna, ale może jest w niej coś więcej. Nie mam pewności. Rozmawiamy jeszcze przez kilka minut. On zajada swoje *momo*, a ja pochylam się w jego stronę na krawędzi krzesła. On – wielce znacząca postać mało znaczącego narodu. Ja – mało znacząca postać z kraju o ogromnym znaczeniu. W jakiś sposób wszystko się równoważy i powstaje między nami dziwna symetria.

Opowiada mi o swoich podróżach do Ameryki, gdzie jest witany jak gwiazda rocka w takich miejscach jak Berkeley („To zadziwiające, ale wszędzie sale są wypełnione do ostatniego miejsca”). Mówi o potrzebie opracowania konkretnych parametrów mierzących szczęście („Rządy biorą pod uwagę jedynie twarde dane”). Nagle wydaje się, że ma dla mnie mnóstwo czasu – dochodzę do wniosku, że nieco za

wiele, biorąc pod uwagę fakt, iż jest trzecią najważniejszą osobistością Bhutanu. W końcu zjada ostatni pierożek, a ja korzystam z tej okazji, aby się z nim pożegnać.

Impreza niedługo się kończy tradycyjnym bhutańskim tańcem ludowym. Wszyscy stają w kółku – uniwersalnej figurze wszystkich tańców ludowych – i zgodnie podrygują w rytm melodyjnej muzyki. Stoję z boku, ale w pewnym momencie ktoś chwyta mnie za rękę i nieoczekiwanie zmieniam się z obserwatora w uczestnika. Takie sytuacje zazwyczaj przyprawiają mnie o mdłości, ale tym razem odczuwam pewną przyjemność – nie mogę znaleźć innego słowa – wypływającą z tego prostego ludowego tańca. Ręce w górę. Raz, dwa. Krok w prawo. Trzy, cztery. Byłem gdzieś między pięć i sześć, gdy zauważyłem, że minister tańczy wraz ze wszystkimi. Po co to robi? Czy to bhutański odpowiednik „pokazywania się” na meczach? Nie. Tu nie ma żadnych kamer. Dociera do mnie, że ten człowiek, trzecia osoba w państwie, tańczy dlatego, że wszyscy w Bhutanie tańczą. Ni mniej, ni więcej.

Gdy muzyka cichnie i ludzie zaczynają się rozchodzić, moje myśli wędrują w stronę domu. Amerykańscy politycy byli chyba kiedyś podobni – dawno temu, zanim konsultanci i grupy nacisku nie pozabawiły ich ostatnich odruchów szczerości. Zanim pomyliliśmy formę z treścią.

Następnego ranka budzę się wcześniej, wytrącony z równowagi kolejnym złym snem, którego nie pamiętam. Dziś jest ważny dzień. Idę zobaczyć Rinpoche’a przy pracy. Po śniadaniu zostają zaprowadzony błotnistą ścieżką pod jego drzwi. Zdejmuję buty (biorąc pod uwagę ilość błota w Bhutanie, zwyczaj ten ma tu wymiar głównie pragmatyczny). W budynku są tylko dwie izby. Jedna to gabinet uzdrawiania duchowego, druga to salka telewizyjna, w której stoją wygodne krzesła i duży telewizor marki Panasonic. Akurat wyświetlany jest indyjski film.

Przechodzę z sali telewizyjnej do gabinetu. Mam siedzieć cicho i jedynie obserwować. Pokój zadziwia feerią barw – ciemnoniebieską i odcieniami żółci. Wygląda jak tybetański sklep z osobliwościami po wybuchu bomby. Różne przedmioty i gadzety wypełniają każdą wol-

ną przestrzeń. Tworzone przez nepalskich mnichów obrazy *thangka* i inne malowidła, instrumenty muzyczne. Ale większość zgromadzonych tutaj rzeczy to dary i ofiary przekazywane przez wdzięcznych (albo też pełnych nadziei?) pacjentów. Oczywiście są między nimi pieniądze, ale także owoce, ciastka, duże plastikowe butelki coli i fanty. Na ścianie wiszą naszyjniki – kolejne wota – i coś, co wygląda na złoty medal olimpijski. Później dowiaduję się, że rzeczywiście jest to medal olimpijski, który zostawił tu w podzięce pewien amerykański pływak cierpiący na chorobę Parkinsona.

W sali spokojnie siedzi czwórka czy piątka mężczyzn. Wszyscy mają tego dnia wziąć udział w rozprawie sądowej i przyszli tu po to, by zwiększyć swoje szanse na wygraną. Nie wydaje mi się to szczególnie szlachetnym celem, ale tę myśl zatrzymuję dla siebie. Mężczyźni klęczą teraz twarzami zwróceniu do Rinpoche’a siedzącego ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami na drewnianym ołtarzyku. Uzdrowiciel coś cicho śpiewa i na jego twarzy widać grymas lekkiego bólu, jakby miał zatwardzenie. W pewnym momencie zgromadzeni mężczyźni wstają jak na komendę, a Rinpoche skrapia ich czoła wodą. Po chwili wychodzą. To wszystko.

Zostaję teraz w pokoju sam na sam ze swoim gospodarzem, ale wydaje się, że ten przez kilka minut mnie nie dostrzega. Nadal mruczy coś pod nosem i ma zamknięte oczy. Nagle odzywa się do mnie.

– To wazelina – mówi, wyciągając w moją stronę mały słoiczek. Zastanawiam się, co zamierza z tym zrobić. – Wcześniej do rozdzielania błogosławieństw używaliśmy krowiego masła. Ale to działa o wiele lepiej. Jest dobre na choroby, rany i wszystko inne.

Proszę go, aby mi wytłumaczył, co dokładnie dzieje się podczas takiej sesji uzdrawiania, co takiego rozgrywa się w jego głowie.

– Skupiam się na boskości. Nie na Buddzie, ale na ogólnej idei boskości. To jak lustrzane odbicie. Rozpuszczamy się, bóstwo i ja, stając się jednością.

Do pokoju wchodzi kobieta w średnim wieku. Na nodze, którą opiera o ławeczkę, ma ogromną ranę. Rinpoche, z mocno zacisniętymi oczami, śpiewa i dmucha w kierunku nogi tej kobiety. Następnie po-

daje jej wodę, którą ta płucze usta. Uzdrowiciel nadal śpiewa, a kobieta kładzie na ołtarzyku swoje dary – jabłka i ciastka.

Znów zostaję sam na sam z gospodarzem. Rinpoche otwiera oczy.

– Wiesz, dla tych ludzi jestem ostatnią deską ratunku. Wolą szpitałe i nowoczesną technologię. Udają się do klinik w Bangkoku i Ameryce. Dopiero potem przychodzą do mnie.

Mówi, że noga tej kobiety była w znacznie gorszym stanie zanim zaczęła do niego przychodzić.

– Rozumiesz, muszę doświadczać własnych czynów, jeśli nie w tym życiu, to w następnym – mówi enigmatycznie. Już mam zapytać, o co mu chodzi, gdy nagle daje się słyszeć dziwny dźwięk trochę przypominający brzmienie dzwonów. Nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Odgłosy wydobywają się zza ołtarza, gdzieś obok stóp Rinpoche’a, i z każdą sekundą się nasilają.

– Przepraszam – mówi i wyłącza komórkę. – O czym to rozmawialiśmy?

– Mówiłeś o doświadczeniu swoich własnych czynów.

Opowiada mi historię o człowieku, który odnosił się do swojego służącego jak do małpy: „Przynies mi herbatę, ty małpo; wyrzuć śmieci, małpo”. W kolejnym wcieleniu człowiek ten urodził się jako – tak, odgadłeś bez trudu! – małpa.

Podoba mi się ta opowieść, ale nie jestem pewien, co tak naprawdę oznacza, oprócz oczywistego wniosku, że takie plony zbierzemy, jakie ziarno zasiejemy. Postanawiam więc drążyć dość drażliwy temat. Pytam mojego gospodarza, czy miewa jakiegokolwiek wątpliwości odnośnie do całego tego uzdrawiania.

– Nie, nie mam. Pomogłem tysiącom ludzi. Pomogłem im i to daje mi prawdziwą radość i szczęście. – Zapisuję sobie jego słowa w moim małym czarnym notesie, gdy spogląda na mnie i mówi: – Zawsze piszesz, piszesz coś w swoim notatniku. Musisz doświadczać. Naprawdę doświadczać – notuję każde słowo. – Zawsze piszesz... musisz doświadczać – gdy dociera do mnie ironia tej sytuacji. Mamrocę coś głupiego o tym, że trudno walczyć z zakorzenionymi nawykami.

– Widzisz, wszystko jest snem. Nic nie jest realne. Pewnego dnia to zrozumiesz – śmieje się i na nowo podejmuje swój cichy śpiew.

W Thimphu może i nie ma żadnej sygnalizacji świetlnej – ani sieci fast foodów czy bankomatów – ale to nadal stolica kraju. Trzeba się wybrać poza miasto. Następnego dnia Tashi i nasz kierowca pakują bagaże do toyoty i wyruszamy na wschód. Naszym celem jest prowincja Bumthang, oddalona od stolicy o jakieś 300 kilometrów. W większości zakątków świata podróż ta zajęłaby pięć lub sześć godzin. W Bhutanie to dwudniowa wyprawa.

Angielskie słowo *travel* (podróż) ma wiele wspólnego z francuskim *travail* (cierpienie). To nie przypadek. Przez stulecia podróż wiązała się z niedogodnościami i udrękami. W drogę wyruszali jedynie pielgrzymi, nomadzi, żołnierze i głupcy.

Podróż po Bhutanie nadal zawiera w sobie element *travail* lub mówiąc wprost, cierpienia. Większego niż to, którego przysparza nocny lot klasą ekonomiczną z Los Angeles do Nowego Jorku. W Bhutanie drogi nie podporządkowują sobie przyrody, ale dostosowują się do niej, biegnąc pod jej dyktando, wijąc się wokół szczytów w nieskończonej serii zakrętów. Nastroja mnie to do medytacji. Na jakieś 10 minut. Następnie robi mi się niedobrze. Już teraz wiem, jak skarpetki czują się w pralce. Nic dziwnego, że się kurczą w praniu.

Do tego dochodzą jeszcze zwierzęta. Drogi w Bhutanie mogą się równać z najlepszymi ogrodami zoologicznymi świata. Mijamy krowy, dziki, kozy, konie, małpy i niezliczone psy.

Czasem podróż bywa nad wyraz emocjonująca. Strone urwiska sprawiają, że wydaje mi się, jakbyśmy lecieli wzdłuż łańcucha szczytów, a odczucie to potęguje widok towarzyszących nam ptaków, które lecąc przed nami, wyglądają niczym delfiny płynące przy dziobie łodzi.

Kilka kilometrów za Thimphu dostrzegam pierwsze penisy. Zaskakująco wiernie odtworzone wizerunki penisów umieszczone na ścianach domostw. Będzie ich jeszcze więcej, znacznie więcej. Barwne penisy. Jednokolorowe. Duże. Małe. Penisy wiszące u krokwi budynków

lub zwisające z barowych stołów niczym jakieś ozdoby imprezowe. Pytam w końcu o ich znaczenie:

– O co chodzi z tymi penisami, Tashi?

Mój przewodnik wyjaśnia, że mają one strzec przed złymi duchami. Jako właścicielowi takiego narządu nie przychodzi mi do głowy żadna inna część ciała mniej odpowiednia do ochrony przed złymi duchami\*. Penisy często błędzą i notorycznie bywają zawodne. Są narażone na różne urazy i nie zawsze stają na wysokości zadania. Jeśli już, to penisy raczej przyciągają złe duchy, niż je odstrasza. Myślę sobie, że już lepiej by było, gdyby Bhutańczycy używali do tej roli drewnianych wizerunków kciuków, palców u nogi lub łokci – wszystko, na miłość boską, tylko nie penisy.

Wszystkie te symbole męskości ponownie przypominają mi postać Drukpy Kunleya – „bożego szaleńca”. Okazuje się, że niedaleko stąd stoi poświęcona mu świątynia chętnie odwiedzana przez bezpłodne pary.

Zajeżdżamy do niewielkiej wioski. Stąd wspólnie z Tashim udajemy się pieszo błotnistą ścieżką wiodącą przez schludne i niesamowicie żółte poletka ryżowe. Mijamy starego mężczyznę żującego betel. Używka barwi mu wargi na czerwono, z ust wystają liście, przez co mężczyzna wygląda, jakby połknął koguta. Tashi rozmawia z nim, ale nie mogę zrozumieć, jak to w ogóle możliwe, biorąc pod uwagę kolorową zawartość ust mężczyzny.

Starszy człowiek wskazuje nam drogę do świątyni i po chwili kontynuujemy marsz. Mijamy znak z napisem „Przyjemnej wizyty”. Ogarnia mnie poczucie spokoju i myślę, że to właśnie jest szczęście, gdy nagle Tashi krzyczy:

– Stop! Proszę pana! Stop!

Już mam go zapytać: „O co chodzi, Tashi? Czy nie widzisz, że cieszę się jednym z tych rzadkich momentów szczęścia?”, gdy tuż przede mną przelatuje strzała.

\* W rzeczywistości kult falliczny jest powszechnie znany w wielu kulturach, również w europejskiej; fallus pełnił w nich między innymi – jak sugeruje tekst – funkcję symbolu apotropajcznego [przyp. red].

Bhutańczycy kochają łucznictwo. Lubią sobie także wypić. Chętnie łączą te dwie pasje, a wynikająca z tego kombinacja bywa dość niepokojąca. Przepraszam Tashiego, a gdy łucznik przechodzi dalej, kontynuujemy naszą wyprawę w górę błotnistej stoku. I oto jest: świątynia „bożego szaleńca”. Nic wymyślnego, tak jak z pewnością życzyliby sobie Drukpa Kunley. Wchodzimy do środka i Tashi kładzie się kilkakrotnie na ziemi, dotykając czołem podłogi, podnosząc się i znów kładąc. Budyjska rytmika. Przy ołtarzu leżą stosy pieniędzy, orzechów, batonów kit-kat i innych ofiar. Napotykam mnicha opiekującego się tą świątynią, pulchnego mężczyznę z przyjaznym uśmiechem.

– Tak, to prawda – mówi, gdy pytam go o rolę świątyni jako kliniki leczącej bezpłodność. – Wiele kobiet przybywa tu po błogosławieństwo. Kobiety, które wcześniej nie mogły mieć dzieci, zostają nimi obdarzone.

Opowiada mi o pewnej czterdziestoczteroletniej Amerykance, która zaszła w ciążę po błogosławieństwie Świętym Wibratorem. Tak to nazywam. Trzydziestopięciocentymetrowy fallus wyrzeźbiony w drewnie z wyjątkową dbałością o szczegóły. Kolorowe wisiorki zwieszają się z tego końca, który byłby przymocowany do reszty męskiego ciała, gdyby tylko istnieli mężczyźni obdarzeni trzydziestopięciocentymetrowymi drewnianymi penisami.

Opiekun świątyni pokazuje mi zdjęcia – uśmiechnięte pary (niektóre zagraniczne, niektóre bhutańskie) ze swoimi pociechami. I kartki pocztowe.

– Dziękujemy za dar największej radości naszego życia... za naszego syna – napisała Barbara Banks-Alterkruse.

Przeglądam stos kartek, gdy w świątyni pojawiają się dwie Bhutanki. Kapłan z namaszczeniem kolejno dotyka ich głów Świętym Wibratorem. Kobiety wydają się zadowolone z tej kuracji i wkrótce opuszczają świątynię.

Tashi pyta, czy może urwać chwilkę ze swojego czasu pracy w charakterze przewodnika i poprosić kapłana o przepowiedzenie mu przyszłości. Zgadza się. Tashi przykładą do czoła trzy kostki i rzuca nimi. Kapłan przygląda się kostkom przez długą chwilę i mówi mojemu prze-

wodnikowi, że jego pragnienie zostanie spełnione. Następnie ja rzucam kostkami i dowiaduję się tego samego. Wychodząc ze świątyni, pytam Tashiego, czy w Bhutanie można otrzymać złą przepowiednię.

– O tak, proszę pana, oczywiście, że tak.

Nieopodal na ziemi siedzi starszy mężczyzna i przekłada w dłoni koraliki, co pewien czas wprawiając w ruch wielkie koło modlitewne umieszczone tuż obok niego. Koło jest ogromne, wielkości lodówki, i poruszenie go wymaga sporo siły. Pytam go, jak długo już się tym zajmuje.

– Od zawsze.

– I nie robisz nic innego?

– Nie, nic innego. – Nie wydaje mi się, żeby było to jakoś szczególnie zrównoważone życie, ale kimże ja jestem, by kwestionować sprawę wiary?

Na noc zatrzymujemy się w pobliskim miasteczku Wangdue. Pensjonat jest zaskakująco przyjemny. Podają tu nawet prawdziwą kawę. Siedzę na tarasie z widokiem na rzekę o bystrym nurcie. To piękne miejsce – odruchowo sięgam po notatnik i aparat fotograficzny. Ale powstrzymuję się. Wciąż jeszcze słyszę słowa Rinpoche'a. Doświadczenie. Trzeba doświadczać. Ma rację. Rejestrowanie życia jest kiepskim substytutem przeżywania go. Dlatego przez kolejne 20 minut siedzę na tarasie, wsłuchując się w huk przepływającej poniżej rzeki. Nic więcej. Absolutnie nic. Nie notuję, nie robię zdjęć i nie nagrywam dźwięków na magnetofon. Tylko ja i życie. A także bezwzględna chmara bhutańskich komarów. Jak dla mnie wystarczy.

Jedziemy dalej na wschód, do centralnej części Bhutanu. Coś – lub ktoś – blokuje drogę. Jakiś tuzin stworów o białych ciałach i ciemnych pyskach rozpierzcha się na widok nadjeżdżającego pojazdu. Tashi wyjaśnia, że to langury – białe małpy. Twierdzi, że to dobry znak.

– Tashi, czy w Bhutanie coś może być złym znakiem?

– Tak, proszę pana, brązowe małpy. Zobaczenie brązowych małp jest złym znakiem.

Małpom w końcu nudzi się łażenie po drodze i możemy jechać dalej. Co pewien czas mijamy ręcznie wymalowany znak ze słowem „Dziękujemy”. Za co? Tego nie wiadomo, ale i tak doceniam ten gest.

Nie mogę już dłużej znieść zakrętów o 180 stopni i proszę kierowcę, żeby się zatrzymał. Toyota staje i wysiadamy z Tashim. Mój przewodnik wyznaje, że taki spacer w ciemności niezbyt mu się podoba.

– Ze względu na niedźwiedzie? – pytam, pomny tego, co mówiła Sonam.

– Nie, proszę pana, ze względu na demony. Bardziej boję się demonów niż niedźwiedzi. Od urodzenia uczy się nas strachu przed demonami.

Zastanawiam się, czy to zdrowe podejście? Wszystkie te demony biegają jak opętane w umysłach Bhutańczyków.

Wracamy do samochodu i wjeżdżamy coraz to wyżej i wyżej. Ponad 10 000 stóp. Droga jest tak wąska, że dwa samochody nie mogą się swobodnie wyminąć. Kolejność przejazdu negocjuje się za pomocą skomplikowanych, niemal poetyckich gestów dłoni. Przypominają mi się zasłyszane niedawno w Thimphu słowa pewnego Bhutańczyka: „W Bhutanie nie ma miejsca dla pewnych siebie dupków”. Racja. Wszystko w tym kraju wymaga współpracy. Zbieranie płonów. Mijanie się samochodów na ulicy.

Na Zachodzie, a w szczególności w Stanach Zjednoczonych, staramy się wyeliminować potrzebę kompromisu. W samochodach mamy killkustrefowe klimatyzacje, dzięki którym kierowca i pasażer nie muszą szukać temperatury, która obydwu by im odpowiadała. Małżonkowie nie muszą uzgadniać idealnej twardości materaca, bo każdy z nich może wybrać swój własny „osobisty poziom komfortu”. Wszelkie umożliwiające to technologie przyjmujemy z otwartymi rękami. Czemu każdy z nas nie miałby się cieszyć indywidualnym poziomem wygody, czy to w samochodzie, czy w łóżku? Zastanawiam się jednak, co przez to tracimy. Jeśli nie musimy poszukiwać kompromisów w błahych sprawach, takich jak twardość materaca, to co z naprawdę ważnymi kwestiami? Osiąganie konsensusu to umiejętność i, jak wszystkie umiejętności, wymaga treningu.

Wjeżdżamy do Trongsa, niewielkiego miasteczka ulokowanego na zboczu wzgórza. Pensjonat jest dość obskurny, ale jeszcze nie podły. Prowadzi go pulchna rozwódka o szerokim uśmiechu. Kiedy ją pytam, czy jest szczęśliwa, ona w odpowiedzi uśmiecha się jeszcze szerzej i zapewnia: „Tak!”. Przypomina mi posążek śmiejącego się Buddy.

Na ścianie wiszą rzędem zegary wskazujące czas w Tokio, New Delhi, Nowym Jorku i Bangkoku. Zabawne. Nikogo w Trongsa nie obchodzi, która jest godzina w samym Trongsa, a co dopiero w Nowym Jorku.

Kolejny dzień znów spędzamy w drodze. W pewnym momencie postanawiam wysiąść z toyoty i przejść się z Tashim do lokalnej świątyni. Słońce praży, ale po dwóch dniach jazdy wyjście z samochodu przynosi ulgę.

– Proszę pana – pyta Tashi – czy to prawda, że kowboje są bardzo szanowani w pańskim kraju?

Próbuję mu wyjaśnić, że niewielu kowbojów pozostało w Ameryce. Wydaje się tym nieco rozczarowany. Pyta, czy chcę usłyszeć wiersz, którego się nauczył w szkole. Przystaję na to.

– Wspinając się na szczyt w cieniu drzew...

Ledwo rozumiem niektóre słowa, ale Tashi jest z siebie dumny.

– Jeśli nie wyrecytowaliśmy tego poprawnie, nauczyciel bił nas bezlitośnie – mówi, wyprowadzając kilka ciosów w powietrzu, by podkreślić, o co mu chodzi. Podejrzewam, że Tashi wielokrotnie został uderzony, i zastanawiam się, czy to aby nie wyjaśnia niektórych z jego zachowań. Pytam Tashiego, czy w Bhutanie nadal praktykuje się takie metody wychowawcze.

– Tylko na obszarach wiejskich, proszę pana.

Przyjmuję to jako marne pocieszenie – 80 procent Bhutańczyków żyje poza miastami.

Gdy tak podążamy w milczeniu w stronę pobliskiego klasztoru, zdaję sobie sprawę, że bardzo polubiłem Tashiego. Jego denerwujące nawyki teraz wydają mi się sympatyczne. Czy to on się zmienił, czy ja?

Następnego ranka samotnie wędruję grzbietem wzgórza. Powietrze jest rześkie i świeże. Czuję się wspaniale. Nagle jednak przypominam sobie Sonam i jej ostrzeżenia przed niedźwiedziami. Już nie jest mi

tak dobrze. Odkąd to boję się przyrody? Dlaczego bezpieczniej czuję się w zgiełku i szalonym tempie Tokio czy Nowego Jorku niż tutaj, u stóp Himalajów, wśród jodeł i śpiewu ptaków? Potrząsam głową, rozbawiony własnym niepokojem, gdy nagle w oddali spostrzegam jakiś poruszający się, ogromny cień. Drzewa przysłaniają mi pole widzenia i nie jestem pewien, co to takiego, jednak nie mam zamiaru bliżej się temu przyglądać. Odwracam się na pięcie i żwawym krokiem umykam w przeciwnym kierunku. Nie, to nie jest żwawy krok. A niech to licha, ja po prostu biegnę!

Po kilkudziesięciu metrach oglądam się za siebie i widzę, że uciekałem przed ogromną krwiozerczą... krową. Po tym zdarzeniu postanawiam dać sobie chwilę wytchnienia. Kieruję się w stronę pobliskiego klasztoru wznoszącego się na półce skalnej. Zamykam oczy. Karma Ura miał rację. Rzeczywiście w moim umyśle jest teatr. Z tym tylko, że daleko mu do sceny Broadwayu. Krytycy już się z nim rozprawili. Zdaję sobie sprawę, że czas już opuścić kurtynę, tylko nie wiem, w jaki sposób.

Łatwiej mi przyjąć rady Karmy Ury w innej kwestii. Zgodnie z jego sugestią postanawiam odwiedzić wioskę, w której dorastał. Jego rodzinny dom jest solidny, z porządnymi drewnianymi podłogami. Nie ma tu jednak prawie żadnych mebli, z wyjątkiem niskiego stolika zwanego *chokse*. Matka Karmy Ury, obecnie siedemdziesięciodziewięcioletnia kobieta, siedzi przy stole z ciemnym wełnianym kocem na kolanach i z otwartą księgą przed sobą. Modli się.

Jej skóra, choć poorana zmarszczkami, wciąż jest elastyczna; staruszcze brakuje wielu zębów. Wita nas ciepło i gestem dłoni zaprasza, abym usiadł na poduszce położonej na podłodze. W przeciwieństwie do swojego syna, nie zna ani słowa po angielsku. Tashi oferuje swoje usługi tłumacza. Dobrze się składa, gdyż pani Ura okazuje się rozmowną osobą.

– Przeprowadziłam się do tej wioski, gdy miałam 20 lat. Kiedy byłam dzieckiem, podróżowało się konno. Trzeba było jechać daleko, dwa razy w tygodniu, by zdobyć podstawowe produkty, takie jak sól. A teraz mamy samochody, brukowane ulice i prąd.

– Czy w życiu z tamtych czasów było coś lepszego niż teraz? – wtrącam pytanie.

– Nie – odpowiada, jakby miała do czynienia z głupkiem. – Teraz życie jest lepsze. Może z wyjątkiem telewizji – ta ma dobre i złe strony.

Pytam o opinię na temat planów króla związanych z wprowadzeniem demokracji w Bhutanie. Czy jest na to gotowa?

– To na pewno nie będzie nic dobrego dla ludzi. Pojawi się przekupstwo i przemoc. Widziałam w telewizji obrazy z Nepalu i Indii, ludzie rzucają tam kamieniami w policję, a policja strzela do ludzi gazem łzawiącym i nie tylko. Nic dobrego nie będzie z tej demokracji. Błagamy naszego króla, żeby jej nie wprowadzał.

Kilka miesięcy później, gdy będę już z powrotem w Miami, przeczytam małą notkę prasową w „The New York Times”: „Król Bhutanu abdykował na rzecz swojego syna. W kraju przeprowadzono próbne wybory. Wkrótce odbędą się prawdziwe”. Pomyślę wtedy o pani Ura, która z całą pewnością nie jest z tego powodu szczęśliwa.

Kobieta wstaje ze zdumiewającą jak na swój wiek zręcznością i proponuje herbatę. Odmawiam, ale nalega:

– Co by powiedział mój syn, gdybym nie dała wam herbaty? – Myślę sobie, że matki są wszędzie takie same.

W drodze powrotnej do Thimphu Tashi opowiada mi pewną historię. W 1999 roku sześciu chłopców udało się na wyprawę nad jezioro. Wrzucali do wody kamienie i śmieci. Nagle pojawiła się mgła i chłopcy zgubili drogę. Trzech spośród nich przetrwało, trzech zginęło. Tashi jest przekonany, że to kara za zakłócenie spokoju bóstwa, pani jeziora.

– Wiele ludzi w to wierzy. Nie można zanieczyszczać jezior.

– A co z rzekami?

– Rzeki to co innego, proszę pana.

Zatrzymujemy się na ostatni już nocleg. Nasza podróż dobiega końca. Po kolacji popijam piwo red panda, gdy nagle słyszę znajomy akcent. Amerykański. Hrabstwo Suffolk, Long Island, mówiąc konkretnie. Niewielka grupka amerykańskich turystów. Terri i jej mąż, Marty, zapraszają mnie, bym się do nich przyłączył. Wyjaśniam im, że piszę o szczęściu w Bhutanie i wszyscy spoglądają na mnie z zaciekawieniem. Opowiadam o polityce Szczęścia Krajowego Brutto. Marty podchodzi do tego sceptycznie:

– Jak można mierzyć poziom szczęścia? Człowieka uszczęśliwia to, w co on wierzy, a wierzeń nie da się zmierzyć.

Rozmowa schodzi na temat ogromnej dysproporcji między gospodarką Ameryki i Bhutanu. Przeciętny Amerykanin zarabia blisko 100 razy więcej niż przeciętny Bhutańczyk.

– Pamiętasz ten dom, który widzieliśmy na Long Island? – Marty odwraca się do swojej żony. – Tamta kobieta miała całe oddzielne pomieszczenie na swoje buty. Tutaj są ludzie, którzy nie mają nawet jednej pary.

– Tak, ale wydają się szczęśliwi – zauważa Terri. – Nawet te kobiety z dziećmi przywiązanymi na plecach, rozbijające kamienie przy drodze. Uśmiechały się, gdy przejeżdżaliśmy.

Nie mam sumienia, by uświadamiać Terri, że te kobiety ani nie są Bhutankami, ani nie są szczęśliwe. To indyjskie robotnice sprowadzone tu do prac, których Bhutańczycy nie chcą wykonywać. Ale sam wniosek wydaje się słuszny. Ludzie w Bhutanie rzeczywiście wydają się szczęśliwi.

– Może więc nie potrzebujemy tak wiele, jak sądzimy, aby być szczęśliwymi – podsuwam.

– Nie, ci ludzie po prostu nie znają lepszego życia – oponuje Terri. – Gdyby wziąć ich do Ameryki, zobaczyliby, czego im brakuje.

Mówię jej, że 90 procent Bhutańczyków studiujących za granicą wraca do ojczyzny, przedkładając życie w Bhutanie ponad poziom życia na Zachodzie. Terri milczy, najwyraźniej zaskoczona. W końcu mówi:

– Ale czemu mieliby to robić?

Jesteśmy z powrotem w Thimphu. Toyota podjeżdża pod mój hotelik. Odpoczywam przez kilka minut, ale spieszę się. Zostały mi już tylko dwa dni w Bhutanie, a muszę jeszcze ponownie zobaczyć się z kilkoma osobami i zadać im parę pytań.

Karma Ura mieszka wysoko na wzgórzach z widokiem na stolicę. Gdy w rozmowie telefonicznej proszę go o informacje na temat dojazdu, odpowiada: „Wystarczy zapytać kogokolwiek o drogę do mnie.

Każdy wie, gdzie mieszkam”. Miał rację – już po kilku minutach toyota wjeżdża na ogrodzony murem podjazd. Służący prowadzi mnie przez bramę z blachy falistej i wchodzimy na duży dziedziniec, gdzie dwie małe dziewczynki ćwiczą skoki na trampolinie. Zostają skierowany do pokoju z ogromnymi, zajmującymi całą ścianę oknami. Pomieszczenie zostało urządzone po spartańsku – od pokoju w wiejskim domu, w którym spotkałem się z matką Karmy, różni się jedynie ustawionym w rogu laptopem firmy Dell.

Karma ma na sobie spodnie i kamizelkę – żadnego *gho*. Siedzi na podłodze z wełnianym kocem narzuconym na kolana. Wygląda tak blade, że zastanawiam się, czy aby nie jest chory. Częstoje mnie orzechami, które sam wprawnie rozłupuje młotkiem.

Gawędzimy sobie przez chwilę, po czym pytam go o opowiedzianą przez Tashiego historię o pani jeziora. Czy ludzie naprawdę w to wierzą?

– Tak – potwierdza Karma. – To dobrze.

Według niego wszystkie te „zielone bóstwa” ucieleśniają najwyższą formę troski o środowisko naturalne. Amerykanie nie zanieczyszczają środowiska po części dlatego, że obawiają się kar i mandatów. Bhutańscy nie zanieczyszczają środowiska po części dlatego, że obawiają się „zielonych bóstw”. Czy któryś z tych sposobów rozumowania jest lepszy od drugiego?

Karma wstał. Nie przerywając rozmowy, z gracją schwytał muchę i wyszedł na zewnątrz, gdzie puścił ją wolno. Musiał wyczuć mój sceptycyzm, gdyż postanowił mi opowiedzieć o swojej operacji usunięcia guza z żołądka:

– Operacja przebiegła pomyślnie. Usunęli raka, ale przez dwa lata mój żołądek nie funkcjonował prawidłowo. Lekarze twierdzili, że to wynik „pooperacyjnych komplikacji”. Cóż to oznacza? Że tak naprawdę nie wiedzą, na czym polega problem. Muszą to jednak jakoś nazwać. Stąd powstał termin „komplikacje pooperacyjne”. Czy to naprawdę tak bardzo różni się od ludowych wierzeń w bóstwa zamieszkujące jeziora?

Karma prosi mnie, żebym został na kolację. Siedzimy na podłodze i jemy ryż z zieloną fasolką, którą mój gospodarz uprawia we własnym

ogródki za domem. Zadaję pytanie, które muszę zadać w tym kraju: czy szczęście można kupić?

Karma odpowiada szybko (a przynajmniej tak mi się wydaje – albo rzeczywiście zaczął mówić szybciej, albo też zwiększyła się moja tolerancja na ciszę):

– Czasem pieniądze dają szczęście. Trzeba to jednak dobrze zrozumieć. Pieniądze to tylko środek do osiągnięcia celu. Problem rodzi się wtedy, gdy potraktujemy je jako cel sam w sobie. Szczęście dają nam relacje z innymi, a ludzie na Zachodzie uważają, że relacje opierają się na pieniądzech. Tak nie jest. Wszystko sprowadza się do zaufania.

To samo słyszałem w Szwajcarii. Zaufanie jako wstępny warunek szczęścia. Zaufanie nie tylko wobec rządu, instytucji społecznych, ale także wobec sąsiadów. Wyniki kilku badań wykazały, że zaufanie – bardziej niż pieniądze, a nawet niż zdrowie – jest najważniejszym czynnikiem decydującym o naszym szczęściu.

Nie oznacza to wcale, że pieniądze nie mają znaczenia. Jak już wcześniej stwierdziłem, odrobina pieniędzy może zapewnić nam wiele szczęścia, ale tylko do pewnego pułapu. Problem polega na tym, że Bhutan jeszcze tego pułapu nie osiągnął. Nadal pnie się do góry po krzywej odzwierciedlającej zależność pomiędzy poziomem szczęścia a wysokością dochodów. Jeśli socjologowie mają rację, najlepszym sposobem na uczynienie Bhutańczyków szczęśliwymi byłoby zapewnienie im podwyżek płac, aż do momentu, w którym zarabialiby około 15 000 dolarów rocznie.

Ale samo życie zdążyło nas już nauczyć czegoś zgoła innego i trudno teraz przekonać ludzi do zmiany poglądów – nie tylko Bhutańczyków, ale i nas także. Gonitwa za pieniędzmi dała nam szczęście w przeszłości, dlatego zakładamy, że tak samo będzie też w przyszłości. To tak, jakbyśmy powiedzieli głodującemu człowiekowi: „Hej, zjedz tego hamburgera, a poczujesz się lepiej. Smaczny był, prawda? A teraz zjedz jeszcze jednego i jeszcze, i jeszcze...”

Następnego dnia Linda zaprasza mnie do siebie na kolację. Ona również mieszka na wzgórzu z widokiem na Thimphu, nieopodal czterech królowych, lecz – jak szybko zauważyła – nie jak królowa. Jej lokum

jest małe, ale wygodne. Przedstawia mnie swojemu mężowi o imieniu Namgay.

– Wysłałam za szlachetnego dzikusa – mówi z uczuciem.

Podczas kolacji wspomina pierwszą wizytę swojego męża w sklepie Sharper Image w Stanach Zjednoczonych. Był wtedy naprawdę poruszony. Znalazł się w sklepie pełnym cudownych przedmiotów, które mogłyby zaspokoić takie potrzeby i zachcianki, z jakich Namgay nawet nie zdawał sobie sprawy. Podnosił poszczególne rzeczy – na przykład połączenie sokowirówki z urządzeniem do masażu *shiatsu* – i analizował je z nieklamany podziwem.

– Chodzi jednak o to – podkreśla Linda – że nie pragnął niczego kupić, niczego posiadać. Był zadowolony, że może to podziwiać, a następnie odkładał obejrzany przedmiot na półkę i szedł dalej.

Siedzimy na dużych, wygodnych fotelach, popijając bardzo kiepskie indyjskie wino i podziwiając widok na świątynię i Thimphu. Linda mówi mi, że najbardziej tęskni za dwiema rzeczami: pierwszą poprawką do konstytucji i działającymi toaletami, ale nagle zmienia temat i pyta mnie wprost:

– A więc jak, jesteś tu szczęśliwy?

Zaskakuje mnie tym zupełnie. Czy *ja* jestem tu szczęśliwy? Choć przeżyłem w tym miejscu parę szczęśliwych chwil, sam sobie nie postawiłem jeszcze tego pytania. Byłem zbyt zajęty próbą zdiagnozowania, czy Bhutańczycy są szczęśliwi. Odpowiadam twierdząco, ale bez zbytniego przekonania. Muszę to sobie dokładniej przemyśleć.

Ale najpierw trzeba się jeszcze napić. Ostatniego wieczoru w Bhutanie namawiam Tashiego, aby wypił ze mną piwo. Po kilku łykach redpandy Tashi czerwienieje i pozbawiony zahamowań wyznaje, że nie wszyscy jego goście są równie wspaniali. Najgorsi są turyści z Niemiec. Zawsze narzekają. Płyną kolejne wyznania: Tashi martwi się o swoją przyszłość. Ma 20 lat i jeszcze nie znalazł sobie żony. W Bhutanie to już poważny wiek. Trapi się także przyszłością swojego kraju – powstaje coraz więcej hoteli, a w powietrzu unosi się zapach pieniędzy. Według Tashiego to dobrze dla interesów, ale niekoniecznie przynosi

to szczęście. Gdy się rozstajemy, Tashi wręcza mi podarunek – cylindryczny przedmiot opakowany w zwykły brązowy papier.

Leżąc tej nocy w łóżku, zastanawiam się, czy nie zakochałem się zbyt w tym kraju i nie straciłem dziennikarskiego obiektywizmu. Czy ja również nie dałem się złapać na urok lamów?

Przywołuję słowa innego napotkanego kiedyś przewodnika z Bhutanu: „Ludzie tutaj twierdzą, że są szczęśliwi, ale w rzeczywistości tak nie jest. Mają swoje problemy. Mówią ci tylko połowę prawdy”. Myślę sobie, że bycie w połowie szczęśliwym też nie jest takie złe, gdy nagle przypominam sobie o podarku Tashiego. Jest długi i ma kształt kości dla psa. Czemu Tashi miałby mi dawać kość dla psa? Odwijam prezent i okazuje się, że nie jest to kość, ale fallus – trzydziestopięciocentymetrowy sztuczny członek w komplecie z jądrami. W każdym innym kraju, gdyby mój przewodnik kupił mi ogromnego drewnianego fallusa, zacząłbym żywić pewne obawy. W Bhutanie – jestem wzruszony.

Następnego ranka budzę się jeszcze przed świtem i spotykam Tashiego w holu na dole. Kilka minut później nasz kierowca podejżdza pod miniaturowy budynek terminalu i Tashi ogłasza:

– Przybyliśmy na lotnisko, proszę pana.

Będzie mi go brakowało. Potrząsamy swoimi dłońmi na pożegnanie. Wyciągam obie ręce, kładę jedną dłoń na drugiej i przeciągam ten moment. Zaczynam zwracać uwagę na drobiazgi.

Szybko przechodzę przez odprawę celną i bramkę bezpieczeństwa. Do lotu pozostało mi jeszcze wiele czasu. Na zewnątrz pada i zastanawiam się, czy start samolotu jest w tych warunkach pogodowych bezpieczny – góry są przecież tak blisko, takie wysokie.

O katastrofach lotniczych rozmyślam częściej niż inni. Umiem pilotować niewielkie samoloty i chociaż można by sądzić, że powinno mi to dodawać otuchy, na mnie ten fakt ma odwrotny wpływ. Każdy wstrząs lub jakiegokolwiek odstępstwo od normy wzbudza we mnie strach. Czy ta kłapa jest odpowiednio wychylona? Czy nie schodzimy zbyt szybko? Czy ten lewy silnik nie wydaje dziwnego dźwięku?

Jednakże kiedy tak siedzę w tym terminalu wyglądającym jak buddyjska świątynia, oglądam zawody łucznicze na małym ekranie

telewizora i popijam niesmaczną kawę rozpuszczalną, ogarnia mnie nieznane dotąd uczucie: spokój. Nie jest to spokój wywołany alkoholem czy środkami odurzającymi, ale prawdziwe odczucie płynące prosto z wnętrza. Wyjmuję pióro i zapisuję te słowa w moim notesie. Piszę dużymi literami, na całą szerokość kartki, aby łatwiej było to zauważyć, gdy już znajdą moje ciało we wraku samolotu.

Niczego nie zrobiłbym inaczej.

Wszystko w moim życiu – wszystkie chwile, wszystkie napotkane osoby, wszystkie podróże, wszystkie sukcesy, wszystkie błędy, wszystkie straty – wszystko to było właściwe. Nie mówię, że wszystko było dobre ani że wszystko miało swoją przyczynę – nie kupuję takiego ślepego fatalizmu – ale wszystko było właściwe. Było... OK. Wiem, że w porównaniu z oświeceniem to dość płytkie stwierdzenie. OK, to nie oświecenie ani nawet szczęście. OK nie jest wystarczającą podstawą dla nowej religii czy ruchu samopomocy. OK nie wystarczy, by znaleźć się u Oprah\*. Ale OK to dobry początek i tym jestem usatysfakcjonowany.

Czy powinienem podziękować Bhutanowi za to odkrycie? Trudno powiedzieć. Bhutan to nie Szangri-La – tego jestem pewien – ale to dziwne miejsce, wyjątkowe na wielką i na małą skalę. Tutaj tracimy orientację, a wtedy w naszym pancerzu powstaje jakaś szczelina. Szczelina dość szeroka, aby – jeśli mamy szczęście – wpuścić kilka promieni światła.

---

\* Oprah Winfrey – znana amerykańska prezenterka telewizyjna i aktorka, prowadząca popularny *talk-show* [przyp. red.].